60 groszy

Tygodnik Polski

№ 44
11. XII. 27



Rozpowszechniajcie „Tygodnik Polski"

Opłata pocztowa ryczałtem 11—18 grudnia 1927 r. Cena 60 gr.

Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:
Miesięcznie . . Zł. 2.—
Kwartalnie. . . „ 6.—
Półrocznie. . . „ 12.—
Rocznie . . . „ 24.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p.
Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych fotografij i rysunków Redakcja nie zwraca.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ PRZEZNACZA SIĘ CO TYDZIEŃ CENNE NAGRODY

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 44.

Kartki z raptularza

NASZA ILUSTRACJA TYTUŁOWA. I komuż serce nie raduje się i nie bije żywiej na widok żołnierza Rzeczypospolitej, który twardo stoi na rubieżach naszych granic, aby nikt nie ważył sięgnąć po najmniejszy choćby skraw naszego dziedzictwa?

A musimy być na straży nieustannie, bo obaj sąsiedzi nasi, ze wschodu i zachodu, nie omieszkają wykorzystać najdrobniejszej choćby okazji, by uszczuplić posiadanie polskie.

Choćby obecna sprawa litewska.

Ileż za jej kulisami było machinacyj niemiecko-sowieckich, które teraz dopiero wychodzą na światło dzienne?

„TAKIE SĄ RZECZYPOSPOLITE JAKIE ICH DZIECI CHOWANE“ Słowa te miłującego swój kraj, jednego z najrozumniejszych ludzi z polskiej przeszłości, Stanisława Staszyca, powinny być dewizą rządu i społeczeństwa.

Do najnieszczęśliwszych dzieci należą te, które brak opieki, złe otoczenie, albo wreszcie nędza i głód popycha do występku. Daremnie tu szukać ich winy i karać.

Dziecko musi być czyjeś, a u nas mnóstwo dzieci niczyich t. j. takich, któremi nikt się nie opiekuje, nikt nie wychowuje, nikt nie żywi, nikt nie uczy.

Rzadko dziecko mające oboje rodziców, prawie zawsze opuszczone, albo zaniedbane sięga po ochłap cudzego dobytku i staje jako oskarżone przed sądem dla nieletnich. A jeżeli kogoś o większą szkodę przyprawi, to jest często narzędziem w rękach starszego.

Wszędzie już prawie wśród narodów dbałych o swoją przyszłość zajęto się losem opuszczonych dzieci. Wszędzie bowiem zrozumiano, że istotny interes kraju tego się domaga, ażeby ze wszystkich dzieci wyrastali obywatele, mający prawo w poszanowaniu.

Zanim odrodzona Polska zbierze wszystkie swoje opuszczone i zaniedbane dzieci, niechaj te, które policja sprowadza do Sądu dla nieletnich, zziębnięte i wychudłe z pustemi nietylko żołądkami, ale sercami i głowami, znajdą pomoc, której los im odmówił.

Zorganizowana przy Sądzie dla nieletnich opieka w osobach opiekunów sądowych musi dać wychudłemu i trzęsącemu się od zimna dziecku trochę ciepłej strawy, przyodziać, zatroszczyć się o jego zdrowie i przygotować je do pracy zarobkowej.

Takie właśnie zadanie postawiło sobie zorganizowane przy Sądzie dla nieletnich Koło opiekunów sądowych, które słusznie zwraca się z gorącym apelem do społeczeństwa, ażeby groszem, obuwiem i odzieżą pośpieszono z pomocą biednej, wydziedziczonej dziatwie.

Notujemy przy sposobności, iż składki i dary przyjmuje dyżurny opiekun sądowy w Biurze Sądu Pokoju dla nieletnich (Elektoralna 28), codziennie od 10 rano do 2 po poł.



Z HIPOTEZY ETYMOLOGICZNEJ. Mowa narodów kształtowała się od danych warunków przyrody, w których ludy poczęły bytować. Stąd górale mają twardy akcent od wichrów i skał, niziniacy łagodny od szumu drzew i pól, nadmorscy bełkot fal i t. d. i t. d. Rozmowa dwóch ludzi innej rasy stoi na takim stopniu zrozumienia się wzajemnego, jak człowieka z małpą i polega ona na rozmowie ruchów, gestykulacji, mimiki, wydawanie z siebie krańcowych okrzyków.

Tworzenie wyrazów i nazw poczęło się od pierwszego wrażenia, wywołanego na człowieku przez dane zjawisko. Matka, mutter, mother to międzynarodowe określenie niemowlęcia na widok swej rodzicielki, która dla niego coś „ma“ i stąd wszechjęzykowa „mama“. Nazwa „ziemia“ powstała od uczucia zimna, jakie nasz praojciec odczuwał i trzęsąc się ze zimna, kłapał zębami „zi... zi... zi...“, stąd nazwał to, na czem stał, i skąd przypuszczalnie dla niego to zimno szło „ziemią“, wrażenia, które odczuwał „zimnem“, porę roku „zimą“. Niemiec był wytrzymalszy i gdy porządnie zziąbł, zirytował się i skrzywił „e..e“ i nazwał ziemię „Erde“, a przy zacieraniu rąk z zimna wyrwało mu się „ka... ka... ka...“, stąd zimno „kalt“. A koń! Z podziwem zbliżył się nasz praojciec do pierwszego konia i chciał mu zaglądnąć do paszczęki. Koń począł wierzgać nogami na widok człowieka, stąd „koń“, „kopnął“, „kopać“. Niemiec był ostrożniejszy i z tyłu zaszedł koniowi, chcąc go odrazu ujarzmić. I nagle Niemiec zawołał „Pfe‘. Koń był dla niego nieprzyzwoitym i nazwał go „Pferdem“...

Naturalnie, że to tylko hipotezy. Ale i w hipotezach ukrywa się początek świata!

Z mojej karjery... Wywiad XXXIX

Kazimiera Iłłakowiczówna

Poczciwe „Fordzisko“ wartko niesie mnie w kierunku tak zwanego „Emeswojsku“, gdzie w Gabinecie Ministra zasiadła „sur la branche“ miła autorka melancholijnych rymów, Kazimiera Iłłakowiczówna.

— ...Tyle czasu... parę słów do wywiadu „Z mojej karjery“... — zaczynam klasycznie rozmowę.

— Ach tak! — przerywa mi poetka chmurnie prawie spoglądając zza stosu wcale nie poetyckich „urzędowych kawałków“, któremi zasypane jest jej biurko. — Więc to wywiad?... Gdyby mnie pan uprzedził, byłabym się wymówiła od tej „przyjemności“. Zawsze unikałam rozgłosu — nie lubię tego, i chociaż stoję dziś przed 15-m swoim tomem, chętnie byłabym ich nie wydawała, a pisała tylko dla siebie.

Ale trudno. Skoro pan tu przyjechał, poddaję się. Proszę mnie badać...

— Zacznijmy więc od początku „karjery“ — proponuję, przygotowując notes i ołówek. — Dobrze?

— Od początku... Niechże będzie i tak.

Mniej byłam niż „podlotem“, gdy, naśladując siostrę przyrodnią, utalentowaną poetkę, znaną dziś pod nazwiskiem B. Zan, zaczęłam gryzmolić, bezczelnie z początku przywłaszczając sobie jej rzeczy, by jednym dodawać rymy, innym znów rymom początki, aż przecież sama nauczyłam się pisać. Czesław Jankowski był tym pierwszym autorytetem, który zwrócił uwagę na moje wiersze i zachęcił do dalszej pracy.

Pierwsze moje wiersze drukowałam w „Tygodniku Illustrowanym“. Obojętnie przyjęłam ten pierwszy sukces, gdyż obcą mi zawsze była radość z optycznego wrażenia, na widok mych utworów w druku. Obojętnie odnoszę się do tych rzeczy; wolałabym raczej pisać dla siebie, drukując, powiedzmy wszystkiego 60 egzemplarzy dla najbliższych przyjaciół.

Inaczej jednak chciało życie. Zaczęłam zarabiać, a że nie jednym duchem żyje człowiek i zarabiać muszę, pisałam więc dalej, wydając tomy i tomiki.



KAZIEMIERA IŁŁAKIEWICZÓWNA
utalentowana poetka

— Czy krytyka — wtrącam w tem miejscu — przyjęła panią życzliwie. Wszak kobiety, a zwłaszcza w tej dziedzinie twórczości spotykane są naogół nieprzychylnie...

— Traktowano mnie zawsze nad wyraz uprzejmie, przez dobrych jednak 5 lat, nikt nie przypuszczał, że jestem kobietą.

Mówiono na łamach prasy „o młodym poecie, co z gwiazdą melancholji na czole wystąpił na arenę twórczości polskiej“, a tak dalece nie identyfikowano osoby mojej z tym młodym „melancholikiem“, że najbliżsi nie wiedzieli nawet, że to ja piszę.

— Czyż to możliwe? — zapytuję ze zdziwieniem.

— Istotnie, to bardzo zabawne. Niech pan sobie wyobrazi, iż nawet Żeromski wpadł w tę pułapkę.

Było to, bodaj w 13-m roku w Zakopanem. Spotkałam w towarzystwie Żeromskiego, dla którego od dzieciństwa czułam głęboki kult i szczególny traf zrządził, iż obok siebie siedliśmy do stołu.

Ile obiecywałam sobie po rozmowie z tym człowiekiem, gdy wtem, zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Czy lubi pani jeździć na ski?

Zaskoczona, odpowiedziałam pytaniem:

— A czy lubi pan jeździć na „bobsleigh'u“?

W toku tak banalnie rozpoczętej rozmowy powiedziałam mu, że jestem poetką znaną, jako I. K. Iłłakowicz...

— Nie może być! — zawołał Żeromski. — Mój Boże, a ja zawsze myślałem, że pani jest mężczyzną...

I w tem miejscu właśnie zamilkł Żeromski, zwracając się zkolei do swojej sąsiadki.

Choć nigdy już nie spotykaliśmy się, okazał mi Żeromski liczne dowody szczerej sympatji, odzywając się przychylnie o moich utworach.

— Zaskoczyła mnie pani — wtrącam mimowoli — prozaicznem swojem zapatrywaniem na twórczość literacką...

— Owszem, — uśmiecha się poetka — prozaicznie zapatruję się na drukowanie swoich utworów. Honorarjum tak dalece musi mnie niestety obchodzić, że bywa i tak, iż nić tematu zrodzona ze szczerego natchnienia, rozwijam pod bezpośrednim naciskiem materjalnych potrzeb. Trochę w ten sposób, naprzykład powstały moje „Obrazy imion wróżebne“.

— Jakże to było z temi „Imionami?“ — zapytuję z zaciekawieniem. — Przecież jednak wiele tam stronic szczerej poezji?

I staje mi mimowoli w pamięci świeżo przeczytana w „Zwierciadle

I. K. IŁŁAKOWICZÓWNY:

Ikarowe loty.
Wici
Trzy struny.
Historja o królewiczu Lafieraniu.
Śmierć Feniksa.
Rymy dziecięce.
Połów.
Obrazy imion wróżebne.
Historja o moskiewskiem męczeństwie.
Płaczący ptak.
Zwierciadło nocy.

w przygotowaniu:

Z głębi serca.
Czarodziejskie szkiełka.

nocy", cudna „Apologja imion wróżebnych".

...Imię i znów imię
I coraz, coraz nowe, jakby we mgły dymie
mijał kto grzędy kwiatów — mak, róże. lewkonje,
bratki, lilje... I tak się te imiona gonią...

— — — — — — — — — — — — — —

A jedno jest błękitne, a inne w czerwieni,
tamto cieszy purpurą, to smuci fijoletem...

— O imionach myślałam zawsze, że rzeźbią one niejako człowieka, że jedno dopasowane jest do danej osoby, inne znów, nie... Weźmy, naprzykład imię, jak Damazy. Jakże ciężko nosi się z pewnością takie imię! albo, jak trudno odpowiednio zachować się do takiego „Dominika". A czy pan, chociażby, nie odczuwał brzemienia swego imienia? Czy może być Eugenjusz młodym? Dobrych kilka lat trzeba będzie panu, by sobie tego „Eugenjusza" przypasować — choć i to niewiadomo!

Tak samo i ja cierpiałam przez swoje imię, do którego odczuwałam tak głęboki wstręt, że uciekłam się do noszenia innego, cudacznie z tatarska imaginowanego — Iłła. Niedawno dopiero pogodziłam się z Kazimierą, a to tylko dlatego, że uczułam, iż „Kazimiera", straciła wszelki wpływ na mnie i przeciwnie, ja sama dominuję nad nią.

Bawi to pana, prawda? Tak samo i ja z początku myślałam, zmieniłam jednak zdanie, gdy wypadło mi pisać o 100 imionach, obliczonych na tom.

Zabawny miałam incydent, kiedy pewnego razu, choć zapukano do mojej komory poezji, jakgdyby to był... sklep ze śledziami, — zgóry wiedziałam, iż ‚utwór" mój nie ukaże się w druku.

Było to przed kilkoma laty. Przyszła do mnie maleńka dziewczynka i obstalowała dla babuni wierszyk na laurkę. Czy można było odmówić, choć niewdzięczny to temat pisać apologję o czynach babuni, zawodowej „gęsiarki, a mała „klijentka" człapała bosemi nożynami i świeciła zamorusanym pyszczkiem.

Lepiej, powtarzam, pisać dla siebie i tylko dla siebie samej — kończy z westchnieniem poetka, rzucając wzrok na stos urzędowych szpargałów, co wyzywająco piętrząc się na biurku, zdawały się być żywem zaprzeczeniem ideału, podkreślając natomiast życiową konieczność...

═══

O maści końskiej

(Przez Wincentego Pola)

III

Bułano-jabłkowity, jakieby jabłka nie były, bywa zawsze trwały, pracowity, cierpliwy, ale rzadko skory, częściej tępy i małego pojęcia.

Sierść siwa bardzo chwalona w powszechności, jak już to samo mówi przysłowie: „Kto nie miał siwego, ten nie miał żadnego".

Siwy tem lepszy czem ciemniejszy, bo więcej krwi miewa, a następujące odmiany rozróżniają w tej maści: siwo-jabłkowitą, prese białą, siwo-gorczyczkowitą, mrozowatą, dropiatą, i wkońcu szpakowatą.

Siwo-jabłkowity najlepszy, zwłaszcza, jeżeli jabłka w czarne lub w niebieskie biją i są foremne a niezbyt wielkie i zad osypują. Konie takie bywają wytrwałe, drozne, rosbocze i bezpieczne. Koń prese biały, co z wiekiem nie chwyta tatarki, białej lub różowej skóry i białego rodu bywa — jest spojrzenia dziwnie pięknego, wspaniały i do izabelowatych z natury podobny. Maść to momarsza ale dziwnie delikatna, potrzebuje ciepła i wielkiego starania, podlega chromotom i różnym chorobom; stąd tylko w najdzielniejszych koniach i w wielkich stajniach poszukiwana, ale dla szlachcica i żołnierza niesposobna, jak już samo mówi przysłowie: „Biały cały, albo wszystek dobry i chrobry, albo wszystek pies".

Gdy zaś biały miał skórę czarną i czarny róg — to nietylko w tej maści nie bywa dzielniejszych koni, ale mało w której; bo takie konie są wytrwałe, z wiekiem przybywa im dzielności; w gorącym harcu, czem dłużej trwa, tem większego nabierają ognia, płatami oblatuje z nich piana i czarna skóra wychodzi na wierzch, tak, iż biały poszedł do harcu a siwo-żelazny wychodzi z niego. Konie o czarnej skórze wielkiej są dzielności ale bardzo rzadkie.

Siwo gorczyczkowate konie bywają znowu trojakiej odmiany: z czarną gorczyczką i te bywają dobre; z czerwoną gorczyczką mniej piękne i nie tyle cenione, zwłaszcza jeżeli się takowa przerzuca po nozdrzach i chrapach, znamionuje to hardość, niepotrzebną podniosłość i krnąbrność w koniu; ale jeżeli się zdarzy jak gdyby grubym bobem osypany koń z rzadka, gdyby nadto jeszcze miał takież znaki na pęcinach, jak od pęta, toż na kolanach pręgi, a po sobie znaki jak gdyby szramy od cięcia — to już wielki ród znamionuje i w lada koniu się nie znajdzie: choćby był nie bardzo urodziwy, takiego chowaj, bo wszystkie chody zrobi w miejscu i nie tylko na wolnym placu ale w klatce stojąc.

Szpakowata maść miła na oko ale nie wielkiej cnoty, jak już sama mówi przypowieść: „Nad siwego w świecie nie ma, szpaczek chwyci, lecz wstrzyma".

Szpak póki młody, dzielny — ale z laty, w miarę jak bieleje, wołowacieje i nikczemnieje. Lekkorób, wielkiego potrzebuje oka i pilnego starania, a lada czem w niwecz się obraca.



Arab ze stadniny ks. Sanguszków

„DZIADY“

(z powodu premjery w teatrze Narodowym)

Wśród burzy i zamętu dziejowego, wśród wielu prześladowań i niebezpieczeństw, wśród tylu, tylu upadających na duchu, wiele serc młodych, zapalnych mocnem ukochaniem i wiarą w lepszą przyszłość biło szlachetnem tętnem gorącej miłości Ojczyzny. A wśród nich jedno może najdotkliwiej i najboleśniej odczuwało ogrom nieszczęścia, bo niezwykle subtelne i nadwrażliwe, przeżywało silniej tragedję narodu — to serce Adama Mickiewicza. Cała niemal twórczość tego wielkiego wieszcza tchnie olbrzymią miłością kraju, miłością „miljonów“, dla których gotów był poświęcić wszystko, swoje pragnienia, uczucia, bóle i radości.

Jednym z najpiękniejszych jego utworów, w których zawiera się cały ogrom tej niezmierzonej miłości, jest III-cia część „Dziadów“, utwór o niezwykle wysokiem napięciu uczuciowem i psychologicznem.

Powstała ona w r. 1832, w Dreźnie, dokąd poeta wyjechał wraz z falą emigrantów polskich po upadku powstania listopadowego. Sam Mickiewicz z „wielu przyczyn“ udziału w powstaniu nie brał, bo kiedy dopiero w sierpniu 1831 r. przedostał się do Poznańskiego, los powstańców był już przesądzony. Lecz zarówno swą bezczynność jak i upadek ruchu narodowego przebolał tak dotkliwie, że przez jakiś czas bliskim był nawet samobójstwa. Dopiero ogromny napływ natchnienia twórczego, który ogarnął go w początkach 1832 r., przyniósł pewną ulgę jego zwątpiałej i zrozpaczonej duszy.



J. Węgrzyn w roli Konrada.

Natchnienie było niezwykłe, więc i plon jego musiał być niezwykły: była to III-cia część „Dziadów“ ze słynną „Improwizacją“ Konrada.

Trudno jest mówić o estetycznej wartości utworu tak potężnego, tak tragicznego, jak tragiczną była wówczas dola narodu. Poeta niezwykłą mocą ducha zamknął w niem bóle i łzy tysięcy matek, sióstr i żon młodych więźniów, dźwięk kajdanów i głuche jęki torturowanych, ich bolesną rezygnację i ofiarność dla kraju, a na tem posępnem tle z wielkim artyzmem namalował przepych apartamentów senatora, gdzie huczne dźwięki skocznej muzyki głuszą rozpaczliwy krzyk oślepłej matki Rollizona, gdzie nikczemni kaci szydzą z bezczelnym cynizmem z wytrwałości swych ofiar. Jest to dzieło tak potężne w całym realizmie swej grozy, jak straszny jęk okrwawionego i umęczonego narodu.

Poeta wcielił się duszą w duszę narodu, żył jego życiem, cierpiał jego cierpieniem, dla niego gotów był na najwyższe poświęcenie i ofiary.

> ...Nazywam się Miljon, bo za miljon
> Kocham i cierpię katuszę

woła Konrad w swej nieśmiertelnej Improwizacji, bo ten, kto taką miłością objął cały naród, ma prawo to powiedzieć, ma prawo przybrać sobie zbiorowe imię miljonowego narodu.

„Improwizacja“ Konrada jest głębokim wyrazem potęgi jego woli i miłości. Przeżywa tam poeta okres najsilniejszego napięcia uczucia i potęgi, posuwa się nawet do bluźnierstwa, gdy chce, by Bóg podzielił się z nim swą władzą, by dał mu „rząd dusz“, a wtedy dokona on tego, czego Bóg nie dokonał, zanuci narodowi „pieśń szczęśliwą“, pieśń wolności.

W „Improwizacji“ wznosi się poeta na najwyższy szczyt natchnienia. Jest ona największym wyrazem pychy ludzkiej, pychy, która unosząc się z zawrotną szybkością na coraz dalsze wyżyny, przestaje rozumieć różnicę między Bogiem a człowiekiem i chce być równym Stwórcy. Uczucie to pychy wywołane wprawdzie zostało poczuciem mocy człowieka, będącego nie jednostką, lecz narodem całym, co jednak nie zmienia jego nazwy i, jako takie, wymaga pokuty. Znajdujemy ją w „Widzeniu ks. Piotra“, które jest wyrazem najgłębszej pokory duchowej.

> „Panie! czemże ja jestem przed
> Twoim obliczem? —
> Prochem i niczem!“

modli się pokornie ksiądz. I za tę pokorę czeka go nagroda: danem mu będzie widzieć przyszłość narodu, czego nie uzyskał dumny Konrad, bo

> „Pan maluczkim objawia,
> Czego wielkim odmawia“

Rozpoczyna się „Widzenie“. Ksiądz widzi całą mękę narodu, cierpi z nim i za niego i błaga Boga o zmiłowanie.



Scena zbiorowa z III części „Dziadów“.

I oto widzi przyszłego „wskrzesiciela narodu“, widzi Zmartwychwstanie. A mąż ten, ten „namiestnik wolności na ziemi widomy“ jest

„Matki obcej; krew jego, dawne bohatery,
A imię jego czterdzieści i cztery“.

Wiele sporów wzbudziło to tajemnicze proroctwo: jedni pod symbolem tym widzieli księcia Ludwika Napoleona, inni wyraz Litwa, inni wreszcie twierdzą, że poeta, pisząc to, miał na myśli samego siebie, nikt jednak do tej pory nie wyjaśnił dokładnie słów wieszcza.

Sam on, zapytywany później o znaczenie tego proroctwa, przyznał, że pisząc w natchnieniu, położył cyfrę 44 zupełnie nieświadomie.

Widzenie ks. Piotra jest odbiciem ogromnie wówczas rozpowszechnionej idei mesjanistycznej, idei Polski jako „Chrystusa narodów“.

Na głęboko mistyczny umysł Mickiewicza idea ta wywarła ogromne wrażenie, dalej podejmie ją w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego“. Podług mesjanizmu Polska musiała ponieść mękę dla odkupienia narodów podobnie, jak Chrystus poniósł śmierć dla odkupienia ludzkości. I jak niewinna ofiara Chrystusa stała się dla wszystkich niewyczerpanem źródłem łask, w którem obmyte zostały wszystkie grzechy ludzkie, tak równie niewinna ofiara Polski stanie się źródłem, którem oczyści wszystkie narody.

Idea ta nie wywarła dobrego wpływu na umysły ówczesnego społeczeństwa. Przyrównując Polskę do Chrystusa, jednocześnie krańcowo ją idealizowała. Społeczeństwo przejęte myślą o wielkiem posłannictwie Polski, nie mogło krytycznie patrzeć na jej przeszłość, nie mogło widzieć zła, wywołanego prywatą i bezrządem. Ufne w to, że jak wola Boża przyczyniła się do jej upadku, tak Ona jedynie może ją podźwignąć, popadało w bezwład duchowy, nie usiłując poczynać żadnych kroków do jej chociażby moralnego odrodzenia. Ofiar trzeba było, więc je dano — rozumowali ludzie, przeniknięci duchem mesjanistycznym — a teraz trzeba czekać.

Z czasem nastąpiło otrząśnięcie się z tej apatji, czego dowodem było powstanie 1831 r.

Teraz spełniły się już prorocze słowa naszego wieszcza: Polska zmartwychwstała, żyje wolna i niepodległa. Nie poszły na marne ofiary, nie przepadła krew bohaterów, lecz wsiąkła w ziemię ojczystą i użyźniła ją, oczyściła i uszlachetniła. Z krwi dawnych bojowników wolności powstali bohaterowie nowi, którzy przez swój krwawy znój i trud wywalczyli Ojczyźnie niepodległość, a rodakom swym wolność osobistą i państwową. Mamy znów Polskę! Obyśmy tylko potrafili miłować ją tak gorąco, jak miłowali ją nasi wieszczowie, obyśmy potrafili ją „dźwignąć, uszczęśliwić... cały świat nią zadziwić“.

M. S.

Sztuka polska zagranicą



Mystkowski: Zaduma.

Nic tak nie wpływa na urobienie właściwego sądu o wartościach kultury polskiej, jak nasza sztuka i literatura.

A zwłaszcza, jeżeli w grę wchodzi stolica tej miary i wszechświatowego znaczenia, co Paryż, sprawa nabiera specjalnej wagi. To też powodzenie, jakiem się cieszą nasi artyści na obecnie odbywającej się w Paryżu wystawie polskiej, jest rzeczą nie tylko schlebiającą naszej dumie narodowej, lecz również zapowiedzią tego, że naszą sztuką i literaturą będą interesowali się wszyscy.

Nic dziwnego, że tak się stało, gdyż takie talenty, jak Olga Poznańska, Mela Muter, Rubczak, Chmieliński, Black, Cykowski, Mystkowski i inni — to artyści z Bożej łaski, godnie niosący sztandar polskiego malarstwa.

Oryginalność ujęcia tematów oraz wybitnie indywidualny rodzaj twórczości każdego z nich przykuwają uwagę tysięcy widzów, odwiedzających cieszącą się wielkiem powodzeniem wystawę.

Odczarowany romantyzm

Pojęcie romantyzmu jest życiowem źródłem wszelkiego duchowego tworu. Muszą przyznać to nawet ci, którzy potrafią myśleć tylko „technicznie" i chcieliby boginię Rozsądku osadzić na tronie wszechwładztwa, a zwolenników swoich utrzymywać w przekonaniu, że oddając ludziom do użytku coraz bardziej udoskonalone wynalazki techniczne, tworzą najważniejsze dzieła świata. Naturalnie, że romantyk także je podziwia, uznaje ich pożyteczność i chętnie się temi wynalazkami posługuje. Ale pomimo całą ich genjalną konstruktywność, pomimo dobra, jakie spływają z tego źródła, wynalazki i życiowe udoskonalenia pozostaną dla romantyka czemś bezuczuciowem i martwem, nie dającem tego porywającego wewnętrznego szczęścia, które zabija szarzyzna i brzydota codziennego życia.

Szuka go więc romantyk w czemś piękniejszym, w czemś „nieprawdopodobnem", co mu obficie roztacza dookoła natura i twórcze istoty ludzkie.

Biernie poddaje się taki człowiek ogromowi wrażenia, jakie spływa na niego, patrząc na górski krajobraz; trwożnie się zżyma przed ponurą samotnością wiecznych lodowców; raduje swe serce widokiem bezbrzeżnej toni morskiej i napawa


Indyjska arystokratka: księżniczka Ranee Sahiba z Kapurthali.

swój wzrok bogatą grą kolorów, płynących z życia nieznanych krain świetlnych.

Nieznane są materjaliście takie uczucia, gdyż wszystko obserwuje tylko pod kątem pożyteczności i płynącego stąd dobra: w miejscu malowniczej okolicy, widzi w swym umyśle pobudowany hotel, do którego napływają po równo ubitych drogach liczni kuracjusze, brzęcząc monetą, odwzajemniając się za „wygodne" rozkosze natury.

Materjalista nie ma zrozumienia dla tego podniosłego uczucia i dumy, jaka ogarnia człowieka, który po pełnej trudów drodze, po mozolnem i żmudnem wdrapywaniu się na szczyt górski osiąga wreszcie wierzchołek — swój cel. Górska kolejka przecież jest o wiele przyjemniejsza, bezpieczniejsza i w dodatku... dochodowa.

Że całość i harmonja krajobrazu zostaje przez to zepsuta, nie rozumie tego rodzaju człowiek, tak samo jak uważa za słuszne, umieszczanie swych szyldów reklamowych w pięknych zakątkach natury.

Przeciwieństwa stylu, bezduszność i bezideowość są to moce, które niszczą czar romantyzmu.


Czerwonoskóra niewiasta wybiera się na kontynent europejski.

Cechy te charakteryzują przeważnie narody anglosaskiego pochodzenia. Znani są ze swego „praktycznego rozumu", który dyktuje im dewizę, iż: „ładne jest to, co jest pożyteczne.

Wiadomo jednak, że hasła mającej uszczęśliwić świat cywilizacji, głoszone przez Amerykanów, nietylko narodom prymitywnym, ale każdemu, komu się dało, stały się w wielu wypadkach przyczyną upadku narodów.

Są przecież całe plemiona, rasy całe, które padły ofiarą tego hasła zużytkowania wszystkiego, co się da zużytkować.

Znikał więc prymitywny romantyzm przyrody w miarę postępu techniki. Tam ,gdzie niegdyś stała chatka czerwonoskórego, wznosi się teraz gigantyczny drapacz chmur, tam, gdzie niegdyś wolny syn prerji na półdzikim koniu pędził po bezgranicznych obszarach, grzmią teraz koleje żelazne i warczą samochody. To samo spotykamy w amerykańskim sposobie podróżowania rasy anglosaskiej, które ma cechy „wdzierania się". Nie czynią tego, aby poznać piękność świata, lecz dla zaspokojenia swojej ambicji. Tylko najszybszy środek lokomocji wydaje im się odpowiedni dla ich celów, pędzą więc samochodem, zapominając o powolnych ka-


Zmarła czarna artystka kabaretowa Mary Mills.



Wynik europeizacji Achmeda-Paszy w Turcji.

rawanach, przelatują ponad ziemią, nie spostrzegając nic z czarownego i pełnego tajemnic romantyzmu, który roztacza się wokoło.

Praktyczny businessman zaopatrzył najpiękniejsze zakątki ziemi „we wszelki komfort" i najnowsze środki wynalazków technicznych, nie bacząc, iż sprzeciwiają się charakterowi okolic, w których od stuleci, jakby się zdawało, czas nie posunął się naprzód, a życie płynie powolnym prądem, „pośpiech bowiem — jak głosi wschodnie przysłowie — pochodzi od djabła". Im więcej narody zbliżyły się do siebie lokalnie, tem większe znaczenie miały wpływy natury duchowej.

Nawet murzyn z głębi Afryki pragnie się zeuropeizować. Poznał on swym naiwnym jeszcze umysłem, że jest nagi, chce się ubrać, lecz czyni to w sposób komiczny, nabywając od europejskich, oszukujących go przeważnie kupców, staromodną garderobę.

Nawet w starych azjatyckich kulturalnych państwach, w Indjach, Chinach, a zwłaszcza w Japonji uderza zanik romantyzmu: ciężkie sklepy handlowe w amerykańskim stylu, zajęły miejsce lekkich i pełnych wdzięku domów bambusowych, a ulicami pędzą samochody, zamiast dwukółek, ciągnionych przez żwawych kulisów.

W Turcji tak samo zanika czar romantyzmu, a pierwszą reformą było skasowanie malowniczego stroju — fezu, bez którego nie można sobie było wyobrazić żadnego Turka. Został on prawnie zdetronizowany, zbladł za nim wesoły, pełen życia i kolorów hałas bazaru, brzydko i niewdzięcznie wygląda tłum ubrasny po europejsku, a pozbawiona swojej zasłony kobieta turecka, utraciła legendarny swój urok tajemnicy.

Daleko nawet, za morzem na półwyspach Hawajskich, gdzie w ziemskim tym raju miejsce, gdyby przeznaczone dla życia i radości, nawet tam zdołały ekscentryczne amerykanki, szukające coraz nowych wrażeń, utworzyć dla siebie luksusowe miejsca kąpielowe. Stara palma nie wznosi dumnej korony pod cudnem, lazurowem niebem, ustępując miejsca nowoczesnym budowlom, a w morze wciskają się porty i przystanie, przy których odpoczywają ciężkie, masywne okręty wojenne, mącąc przyrodzony spokój natury.

Wszędzie zimne tchnienie wiecznie naprzód dążącej techniki zdołało nałożyć swe ponure piętno na czar romantyzmu, wszędzie widać ślady zaciętej nieraz walki technicznej siły z matką naturą, która podobna jest do smutnego zwycięstwa dziecka nad starcem.

Żałosny i smutny to widok...

S-ny.



Ratu Meli Salabogi, ludożerca z wysp Fidżi został adwentystą. Widzimy, jak wesoło upływa mu czas w zetknięciu się z cywilizacją.

Teatr przed kurtyną

Wygodnie ulokowani w pluszowych fotelach widzowie siedzą przed kurtyną teatru, nie pamiętając o tem, iż nie są tylko obserwatorami.

Patrzy na nich aktor i obserwuje, a gdy stwarza na sali pewien nastrój, fluid usposobienia widzów przenosi się na niego; jego mózg, i nerwy, nieco lepiej zorganizowane od mózgu i nerwów tuzinkowego człowieka, odczuwają najwyraźniej radość, zadowolenie, lub nudę ckliwe uduchowienie lub chłód, niezadowolenie, które czuje widownia. Obojętne spojrzenia denerwują go tak samo, jak szelest papierków cukierkowych. Aktor zna dokładnie poszczególne typy widzów, a przy wolnej chwili oraz dobrym nastroju studjuje je, czerpiąc stąd materjał dla swojej pracy i stworzenia kreacji scenicznej.

Weźmy naprzykład widzów naiwnych. Zaliczani są oni do kategorji najżyczliwszych, najlepszych i najwdzięczniejszych. Występują przeważnie parami, jako mąż i żona, ściślej mówiąc, jako pełne podziwu małżeństwo. Taka para — to obraz cichego, spokojnego życia powszedniego, w którem wieczór, spędzony w teatrze należy do najmilszych zdarzeń. To też wykorzystują oni całkowicie i wyczerpująco każdą emocję, jaką im daje teatr. Każdy dowcip lub żart, napawa ich nieograniczoną wdzięcznością poddają się wszelkim zmianom sceny, ale całem ciałem, trzęsąc się i zaśmiewając aż do łez. Z łatwością poddają się wszelkim zmianom nastroju, opłakując śmierć bohaterki, równie serdecznie, jakgdyby chodziło o najserdeczniejszego przyjaciela, lub bolejąc sercem na widok niewdzięczności złych dzieci, chociaż sami może nigdy dziecka nie mieli i nigdy w rzeczywistości nie przeżywali wstrząsu prawdziwego cierpienia. Wdzięczni są aktorowi zarówno za śmiech, jak i za łzy, więc bezkrytycznie i żywiołowo oklaskują, nie tyle okazując mu żar podziwu, ile poprostu dziękując za osiągnięte ciepło zadowolenia. Trzeba jednak zauważyć, że naiwni reagują śmiechem, płaczem i uznaniem tylko na specjalny rodzaj sztuki. Skłaniają się oni do rzeczy konserwatywnych i uznanych, od nowej „niezwykłej" i ciężkostrawnej sztuki odwracają całą swoją naiwność, zamieniając ją na przykrą złośliwość. Przeważnie jednak zdrowy instynkt, ten anioł stróż, który, jak wiadomo, zawsze chroni dzieci, pijanych i głupców (a więc prawdopodobnie i naiwnych), strzeże ich przed pogrążeniem w przepaść nieodpowiednich dla ich umysłów sztuk teatralnych, gdyż poszukują jeno prostego uczucia wesołości lub wzruszenia.



Inną jest modna para, co znając obowiązek bon-tonu, uzupełnia swoją obecnością grono obecnych na premjerach. Podczas, gdy „on" jest arystokratą, dyrektorem banku lub przemysłowcem, „ona" pozostaje zawsze tylko przepiękną kobietą, we wspaniałej tualecie, owiana zapachem najmodniejszej perfumy, pełna chłodu, sztywności i pompatyczności. Jej twarz — to kamień, jej wzrok — jest lodem. Bada on krytycznie wszystkie rozmowy, ruchy i stroje. Nic nie zdoła jej wzruszyć, nikt nie potrafi jej wprowadzić w sferę nastroju. Nie przyzna nigdy racji postaciom autora, nie potrafi bowiem nigdy znaleźć dla nich zrozumienia w swej duszy. Z piedestału swej naiwnej wysokości spogląda ona krytycznie i obco na odbicia miłości, życia i cierpienia, by stwierdzić, po przedstawieniu, iż: „pani X wyglądała niemożliwie", „pani Y całkiem straciła głos", zaś „tenora nie można porównać ze śpiewakiem słyszanym w La Scali". Podobne i on wygłasza sądy: aktorkę mierzy tylko miarą kobiety, aktora zaś traktować jest gotów tylko jako kompana, zaś wieczór, spędzony w teatrze zalicza do kategorji przykrych lecz koniecznych dla reprezentacji.



Taka para należy do najbardziej przykrych ze wszystkich gości teatralnych, stanowią jednocześnie nieodzowne „decorum" widowni.

Zimny ich wzrok peszy aktora i żaden bodaj wysiłek nie zdoła spędzić z twarzy „modnej pary" miny na temat: „cóż zrobić z tak nudnie rozpoczętym wieczorem?".

Inną kategorję stanowią widzowie roztargnieni.

— Patrzcie państwo, tam na dole siedzi pan M.!

— Niech sobie siedzi. Za moje pieniądze może sobie pozwolić na teatr.

— Któż to obok ta gruba jejmość? Czy to pani L.?

— Ależ skąd, ona przecież jest jeszcze w Krynicy i płucze kamienie żółciowe.

— No to widocznie musi być ktoś inny.

— Ach, cóż to za skandal: tak marnie oświetlają widownię, że nic i nikogo zobaczyć nie można!... albo ten piekielny wrzask, jaki wyprawiają tą swoją, tak zwaną muzyką! doprawdy wielkie to poświę-

cenie wysiadywać tu pośród nocy... W łóżku śpi się doprawdy wygodniej. A czy zresztą może człowiek spać w dzisiejszych czasach... Jutro, czy jutro... L. i S-wie płacą weksel... ale czy aby zapłacą?.. Paskudne czasy...

Tak, lub mniej więcej myśli „on".

„Ona" zaś — przez pierwsze pół aktu szuka celu dla swojej obserwacji.

— Tam siedzi ten młody człowiek z „Oazy", który zawsze tańczy z taką obrzydliwą rudą.

Dobrze, doskonale, już mnie zobaczył. Tak, mój drogi, możesz podziwiać moje płowe włosy, białe ramiona i pociągłą twarzyczkę. Przyjrzyj się także mojej biżuterji — cała prawdziwa, nie noszę imitacji. Już się uśmiecha... Pozostanę chłodną... Nie... Nie mogę się do niego uśmiechać, bo jakżeż, ta ruda... Jaki cudny blues... Kto wie, mój przyjacielu, może... Chyba, że jutro wieczorem znów się spotkamy w „Oazie" i znów zagrają to tango..."

To przykry element widza. Wzrok ich błądzi, serca są bez echa. Ci i jeszcze dużo innych kategorji widzów, którzy na sali teatralnej stają się aktorami swego własnego życia, odgrywają swoje małe, epizodyczne rólki w wielkim zespole, zwanym „Publicznością".

M. S-ny.





Męczennicy słuchawki

— Hallo! hallo! Warszawa! Fala 1111 metrów oraz Kraków...

Głos speakera obiecujący, pełen zachwycających tonów.

— Ogłaszamy komunikat lotniczo-meteorologiczny na dzień dzisiejszy.

Westchnienie rozczarowania. Trudno, trzeba przebrnąć przez „stan pogody", „wiatry północno-wschodnie", „częściowe zmiany" i „zachmurzenia zmienne".

Czekam. Po 5-ciu minutach słuchania mam już dosyć. Nie mogę.

Trzecia...

— Hallo! Hallo! Komunikat gospodarczy i meteorologiczny.

Około piątej chwytam znowu za słuchawki. A może?...

Spokojny miarowy głos speakera donosi mi, że... wyroby perfumeryjne najłatwiej nabyć można w firmie „Ekonomja" na takiej to a takiej ulicy. Nerwy mi już nie dopisują. Zaczynam kląć, wkońcu odrzucam słuchawki. Ale dziwna rzecz. To przeklęte radjo wywiera na mnie jakiś magiczny wpływ; poprostu przyciąga mnie, jak magnes stalówkę.

Patrzę na zegarek.

— No tak, przecież godzina 5-ta, wszyscy w biurach, kto teraz słucha radja, chyba tacy nieszczęśliwcy, jak ja... zaczekajmy...

Siódma...

Z drżeniem ujmuję za słuchawki. Boję się, by znienawidzone komunikaty nie zechciały znów opanować moich nerwów... czuję, że nowej próby nie przetrzymałbym...

...— Hallo! hallo!... ogłaszamy komunikat rolniczy... ostatnia cena żyta, notowana na rynku... Imaginacja?!... Nie... nie mylę się, wszak wyraźnie słychać... Boże, moje nerwy! Czy to nigdy się nie skończy?!

— A jednak wytrwam, doczekam się — powtarzam z uporem pijaka.

Koło 9-ej jestem przy aparacie... Nie mogę poprostu nie usłuchać wewnętrznego głosu, który mi mówi:

— No weź teraz słuchawki, usłyszysz napewno coś ciekawego, co ci wynagrodzi wszystkie twe męki oczekiwania i rozstroje nerwowe...

Biorę słuchawki... i o mało nie ryczę z wściekłości...

— No tak — zaczynam ironizować w odpowiedzi wewnętrznemu głosowi — może chcesz posłuchać wysoce ciekawego biuletynu: „Messager Polonais". A bodaj ich! Mało im było widocznie tego, że zamęczali mnie w języku ojczystym, więc przerzucili się na gwarę nadsekwańską...

O 10-ej, zacisnąwszy zęby z bohaterskiem zdecydowaniem, ująłem znowu za słuchawki. Każdy nerw drga we mnie z napięcia. Czuję, że jeśli teraz jakaś lekka muzyczka, lub zajmująca opowieść nie przebłagają mnie, aparat mój przeżywać będzie jeszcze dziś straszliwe rzeczy.

— Hallo! hallo! ogłaszamy dokładny czas! Proszę naszykować zegarki!... Odruchowo spełniam polecenie speakera. Wewnętrzny głos szepce mi: „czekaj, cierpliwości!"

— A teraz komunikat lotniczo-meteorologiczny...

Ktokolwiek posądzi mnie o gruboskórność, o brak inteligencji, o niezrozumienie doniosłości tak wiekopomnego wynalazku, jak radjo, niechaj wpierw raczy wysłuchać tak, jak ja:

1) Jedenastu odczytów: „O sztucznych nawozach i ich zastosowaniu w rolnictwie". 2) Czternastu: „O trzodzie chlewnej i jej racjonalnem odkarmianiu". 3) Siedmiu w rodzaju: „O ptactwie domowem i jego znaczeniu w gospodarstwie wiejskiem". 4) Sześciu z cyklu: „Walka z zimnicą w Polsce i obcych krajach". 5) Dwunastu z działu rolnictwa: „Zagadnienie masowej hodowli koni". 6) Dziewięciu: „O reformie wychowawczej". 7) Dwóch: „O organizacji umysłowych pracowników we Francji".

I więcej nic! Jeśli po tem wszystkiem nie dostanie zimnicy (patrz Nr. 4), to zgadzam się, że jestem gruboskórny.

Jotha.



Koszty strojów i klejnotów artystek filmowych

Obserwując lśniące klejnotami toalety artystek filmowych, zwłaszcza w obrazach kostjumowych i salonowych, zwykliśmy przypuszczać, iż stroje te zrobiono wyłącznie na efekt, a tanie świecidełka zastępują drogie kamienie. Słuszne to zapewne, przypuszczenie, o ile chodzi o statystki i drugorzędne aktorki, wielkie gwiazdy natomiast prześcigają się wzajemnie w przepychu toalet.

Nikogo tu nie chcemy urazić, sądzimy jednak, iż podobne zjawisko, dyktowane przez wrodzoną kobiecie płochość, jest właściwością, cechującą cały ród niewieści, czego skądinąd, nikt im nie ma za złe...

Dla widza jednak jest to obojętne, czy patrzy na prawdziwe klejnoty, czy też podziwia fałszywe, gdyż trudno odróżnić na ekranie brylanty od szkiełek. Obojętnem więc okiem na nie spoziera, mimo iż większość djamentów i naszyjników złożona jest z prawdziwych kamieni.

Weźmy, naprzykład, choćby ślubną suknię, którą nosiła Glorja Swanson w „Historji jej miłości" (a love story): wykonana z indyjskiego muślinu przybrana jest prawdziwemi perłami, kosztowała 96.000 dolarów.

Suknie, które artystka ta nosiła w znanych u nas obrazach, jak „Zaza", Rajski ptak", „Z rąk do rąk" i „Skandal" kosztowały 46.000 dolarów.

Nic też dziwnego, iż budżet, który sobie ta znana ze strojów artystka, przeznacza na toalety wynosi 125.000 dolarów rocznie, a klejnoty blisko pół miljona.

W filmie „Sąd Boży" (Jolanda), nie mniej słynna artystka, Marion Davies, zmienia 22 kostjumy wartości przeciętnej 250 dolarów za każdą suknię, a wydatki jej na garderobę wynoszą rocznie około 100.000 dolarów.

To samo, mniej więcej, da się powiedzieć o innych sławach ekranu, jak Norma Talmadge, Pola Negri, Corinne Griffith i t. d.

Mniej bogate aktorki, przy wielkich oszczędnościach, wydają „tylko" około 10.000 dolarów rocznie na stroje, starając się jednak, w miarę możności, dorównać swym bogatym koleżankom.

Daleko skromniejszymi pod względem strojów są artyści filmowi.

Wszystko, co się czyta o wielkiej ilości ubrań ś. p. R. Valentino, Johna Gilberta, R. Colmana i innych jest przeważnie zmyślone.

Wyjątek tu stanowi Antonio Moreno, szczycący się posiadaniem 30 par obuwia, 100 garniturów, 3 fraków i t. p., na co wydaje „nikłą" w porównaniu do swych koleżanek, sumę około 10.000 dolarów rocznie.

Wcale bogato, nawet jak na Amerykę...



Wdzięczny zespół artystek filmowych z Hollywoodu w ensemblowej scenie choreograficznej.

Wieża miłości

(Filharmonja i Colosseum).

Niepoprawne są nasze ajencje filmowe w nadawaniu obrazom polskich nazw. Prosty zazwyczaj i trafny tytuł angielski, musi być koniecznie zamieniony długiem, przeważnie o podkładzie mocno erotycznym, zdaniem, mało mającem wspólnego ponadto z danym filmem. Przykładem powyższego, wyświetlana obecnie przeróbka filmowa poematu Byrona, Don Juan, której nadano napuszony tytuł „Wieża Miłości".

Bardzo skądinąd dobry ten film wykonany został, przez cenionego w Ameryce reżysera, Allana Croslanda, który doskonale połączył teatralność tematu, z jego walorami kinowemi.

W roli tytułowej widzimy znanego już u nas z „Bestji Morskiej" Johna Barymorre'a, znakomitego teatralnego odtwórcę ról Shakespeare'a. Na ekranie Barymorre ukazuje się stosunkowo rzadko, nie zawodząc jednak nigdy. W „Wieży Miłości", w niezupełnie odpowiedniej roli, daje świetną sylwetkę, naśladując chwilami, sposobem gry Douglasa Fairbanksa, co mu jednak nie ujmuje walorów indywidualnych.



Z filmu „Wieża miłości": Uczta weselna na dworze Cezara Borgji

Estella Taylor usiłuje nadać swej grze charakter „wampiryczny", co się jej niecałkowicie udaje, może dzięki... blond peruce.

Mary Astar poprawna.

Wystawa i strona techniczna na bardzo wysokim poziomie.

Na zakończenie, podkreślić jeszcze należy, iż scenarjusz Bess Meredith, z powodzeniem dla filmu, przenosi punkt ciężkości z momentów tragicznych, co ma miejsce w poemacie, w kierunku awanturniczo - bohaterskim.

W. H.

Z wędrówki po kinach warszawskich

Zwiedzając kina, ulokowane daleko od śródmieścia, gdzieś na krańcach stolicy, spotykamy przeważnie przybytki, zasługujące raczej na nazwę bud jarmarcznych, niż „świątyń Dziesiątej Muzy".

Z uznaniem też należy powitać każde usiłowanie, mające na celu dostarczenie taniej rozrywki dla ludności przedmieść, w warunkach higienicznych i takich, któreby swem otoczeniem i doborem widowiska, rozwijały poczucie estetyczne.

Warunkom powyższym w zupełności odpowiada Kino — Italja przy ul. Wolskiej Nr. 32.

Już na ulicy uderza nas fala światła, przed wejściem, utrzymanem w jasnych barwach i wiodącem do miłego i jasnego westibulu. Wchodzimy po schodach : przez sympatyczną poczekalnię, na salę. Wszędzie czysto i schludnie. Gustowne obicia i miłe światło, tworzą przyjemną dla oka harmonję. Doskonała wentylacja. Chwila rozmowy z dyrektorem kina p. Lampe, który nam uprzejmie komunikuje,:

— Staramy się doborem filmów o wysokiej wartości artystycznej, rozwijać poziom kulturalny naszych widzów; trudności jednak mamy wiele, gdyż ludność Woli, nie jest zamożna, a filmy dobre, wiele kosztują. Nie tracimy jednak nadziei, że usilna i umiejętna praca wyda pożądane owoce i spełniając swą misję kulturalną, osiągniemy do chody, które pozwolą nam na dalszy rozwój przedsiębiorstwa.

Żegnamy naszego interlokutora, życząc jednocześnie powodzenia w pożytecznych poczynaniach.

Chrońmy nasze zdrowie

Nie potrzebujemy się rozwodzić nad zgubnemi skutkami nikotyny, wchłania nej przez organizm człowieka wraz z dymem papierosa.

Sprawa powyższa została dostatecznie wyjaśniona przez higjenistów całego świata.

Oddawna głowią się wielce nad sposobami, któreby palenie uczyniły nieszkodliwem. Podzielimy usiłowania swe na dwa zasadnicze kierunki: jeden z nich dąży do odnikotynowaniu tytoniu drogą chemiczną, co w praktyce jest trudne do zastosowania i nie daje całkowicie zadawalających rezultatów, podczas gdy drugi dąży do ubezpieczenia organizmu przed skutkami trucizny, przez filtrowanie dymu, wchłanianego przez palacza.

Sposób ten daje najlepsze wyniki, dlatego też z uznaniem należy podkreślić zasługi, które na tem polu położyła polska fabryka gilz „Sokół".

Dzięki dwudziestoletniemu doświadczeniu, znakomicie udało się firmie spreparować filtr, składający się z dwóch watek odpowiednio przyrządzonych, które po umieszczeniu w gilzie dają zupełną gwarancję nieszkodliwości papierosa.

Gilzy „Dwuwatki", wypuszczone przez fabrykę „Sokół" i opatentowane za Nr. 152, zawierają takie właśnie filtry, i tem samem, zabezpieczają całkowicie organizm przed nikotyną.

Podkreślić jeszcze należy, iż Dwuwatki", jak zresztą i inne wyroby firmy „Sokół" są wykonane nadzwyczaj starannie i wyglądem swym mogą zadowolnić nawybredniesze gusta.

POLSKA



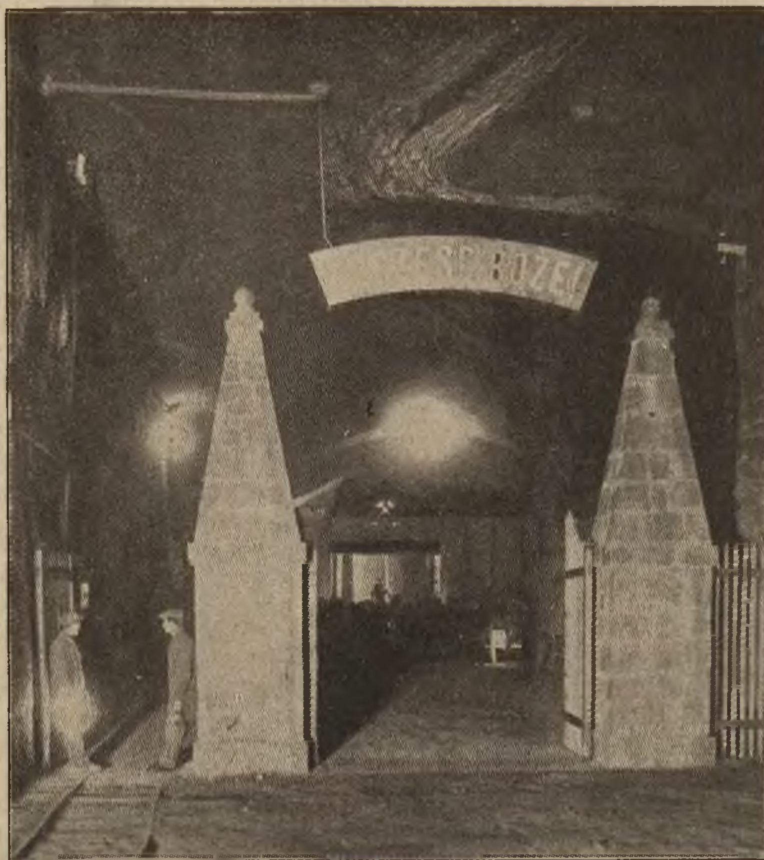
Karol Devey, radca finansowy przy Banku Polskim przyjechał do Warszawy i objął już wielce odpowiedzialne urzędowanie.



Uwaga Europy skupiona jest na sprawę rzekomego stanu wojny pomiędzy Polską, a Litwą. Nie dojdzie chyba do tego, by jakiekolwiek działania wojny naruszyły spokój, panujący dziś nad brzegami Niemna. Zdołają chyba wyperswadować w Genewie Waldemarasowi, by zaniechał bezpodstawnych pretensyj.



Znany pisarz rosyjski, Ilja Erenburg przybył do Polski i wygłosił szereg odczytów z dziedziny sztuki. Pewne sfery publiczności żywo zainteresowały się temi prelekcjami, tembardziej, iż z licznych przekładów utworów Erenburga, zdołały się już zapoznać z tym ciekawym, aczkolwiek nawskroś przesiąkniętym ideologją bolszewicką talentem.



Dzień św. Barbary uroczyście obchodzony jest przez górników w Wieliczce. Obchód ten jest jednocześnie dorocznem Świętem Pracy.

ZAGRANICA



Śledztwo w sprawie sfałszowania banknotów węgierskich we Francji przybrało olbrzymie rozmiary. Na ilustracji widzimy wzór banknotów przemyślnej fabrykacji autora uwidocznionego na medaljonie.



Wielbłądy zastępują kirgiskim robotnikom fabrycznym rowery.



Finlandja święcić będzie 9-lecie niepodległości. Widzimy na ilustracji piękny gmach parlamentu w Helsingforsie, udekorowany okolicznościowemi flagami i emblematami.



Małżeństwo Buck stanowi niezwykłą parę i mimo iż dorodny i słusznego wzrostu mąż poślubił potworną karlicę, dochowało się już czworga normalnych dzieci.



ZE ŚWIATA KOBIECEGO

Ozdoby na choinkę

W szeregu numerów przedświątecznych podamy wzory zabawek na choinkę, które każdy łatwo może wykonać w domu, przysparzając uciechy dziatwie, lubiącej oddawać się podobnemu zajęciu.

Wzory czerpane są z rodzimych wyrobów ludowych, tembardziej więc zasługują na rozpowszechnienie.

W szeregu barw, które odróżniamy, cztery obojętne pasują do siebie wzajemnie i do wszystkich innych. Jest to kolor czarny, biały, złoty i srebrny. W razie wątpliwości można wstawić którąś z tych barw, a nie zepsuje harmonji.

Zestawiając większą ilość barw, można zastosować taki ich porządek, w jakim są ułożone w tęczy, to jest: fioletowy, mocny niebieski, ciemno-zielony, jasno-zielony, żółty, pomarańczowy i czerwony.

Najryzykowniejsze są kolory: amarantowy, buraczkowy, różowy, sinawy; tę barwy nie pasują do żadnych prócz do obojętnych. Źle się łączy barwa czerwona z fioletową, dobrze: żółta, zielona i fioletowa, zielona z pomarańczową.



Mazowieckie ozdoby z pierza.



Kokardy mazowieckie.

Bardzo ładne mogą być też choinki jednobarwne, utrzymane w jednym kolorze i jego cieniach, z dodaniem barw obojętnych. A zatem:

Choinka biała — barwy: biała, złota i srebrna.

Choinka czerwona — barwy: zielona ciemna, zielona jasna, seledynowa, biała, czarna, złota, srebrna.

Choinka biało-zielona — barwy: zielona ciemna, zielona jasna, seledynowa, biała, czarna, złota srebrna.

Choinka fioletowa — barwy: lila, fioletowa, biała, czarna, złota, srebrna.

Choinka niebieska — barwy: niebieska, szafirowa, granat, biała, czarna, złota, srebrna.

Choinka różowa — odmiany różowego, począwszy od amarantowego lub bordo, biała, czarna, złota, srebrna.

W dwóch ostatnich trzeba zwrócić uwagę na odcienie niebieskiego i różowego, żeby nie łączyć różowego zimnego, wpadającego w fiolet, z różowym ciepłym, wpadającym w żółty, a także niebieskiego zimnego, wpadającego w fiolet, z niebieskim ciepłym.

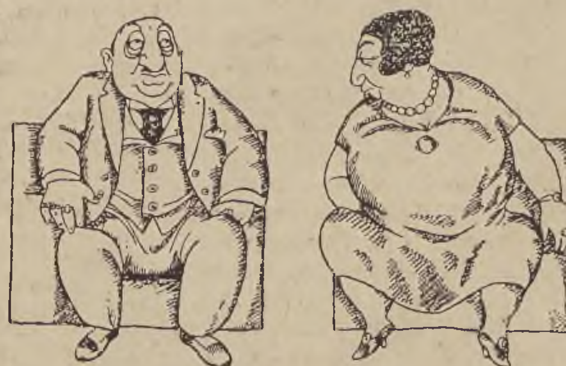
Kartki z humoru



— Oto mój portret przed tem nim włosy sobie ostrzygłam.
— Ach tak? To też właśnie nie mogłem pani poznać na razie...



— Nie znasz ty lekarstwa na ból zębów?
— Ależ tak! Znam ja taki środek, co go Wolfsohn używa 15 lat bez przerwy...



— Słuchaj Moryc, kiedy jedno z nas umrze, to ja pojadę mieszkać na Rivierze.



Całe szczęście, że zabrałam para sol...



Jak się umiano wstydzić przed laty.

Rozrywki

Dodatek tygodniowy „Tygodnika Polskiego" poświęcony rozrywkom umysłowym, z nagrodami pod redakcją Wandy Kreczyńskiej-Stanislickiej

KRZYŻÓWKA.

* uł. Herman.*



ZNACZENIE WYRAZÓW:

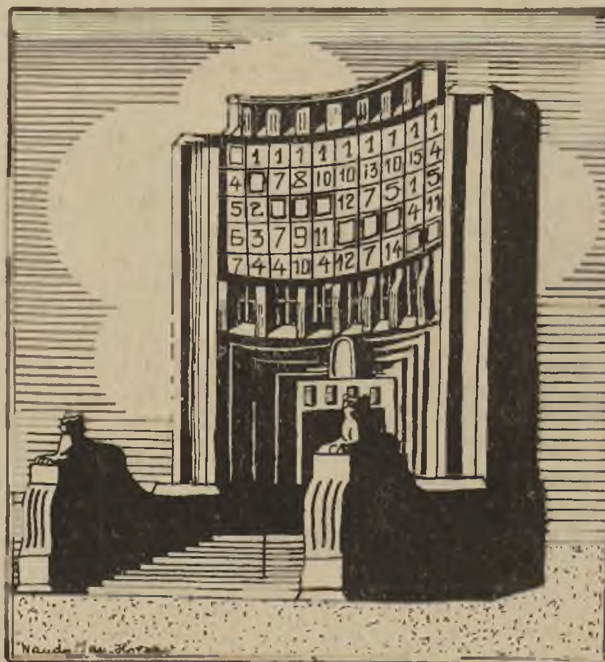
Poziome: 1A. Termin używany w jeździe konnej. 1H. Słodka cytryna. 3c. Powietrznia. 4A. Rodzaj głosu. 4k. Miasto w Rosji. 5c. Wypustka na ubraniu. 5H. Warownia. 6A. Zabawy. 6E. Duch w mitol. skandynawskiej. 9c. To co mija szybko i już nie powróci. 9H. Zwierzę bezkręgowe. 10A. Miesiąc. 10K. Dawna moneta. 11O. Postać z Iljady. 13A. Miara długości. 13H. Pałeczka do wskazywania.

Pionowe: A1. Pozorna śmierć. A8. Działo. C3. Prawo. D1. Część utworu. D11. Nabrzmiałość. E3. Starożytna moneta. E8. Urodzajne miejsce na pustyni. F1. Miasto w Finlandji. F5. Sen magnetyczny. F11. Letnik. H1. Część karabinu w 2-gim przyp. liczby mnogiej. H5. Ciepłe palto. H11. Astrolog u Persów. I3. Bożek miłości. I8. Świeży (wspak). I1. Spokój. I11. Owad. K3. Woźnica Achillesa. M1. Rodzaj zapałki. M8. Zatrudnienie.

TERMIN ROZWIĄZYWANIA ZADAŃ CO 2 TYGODNIE.

ARYTMOGRAF.

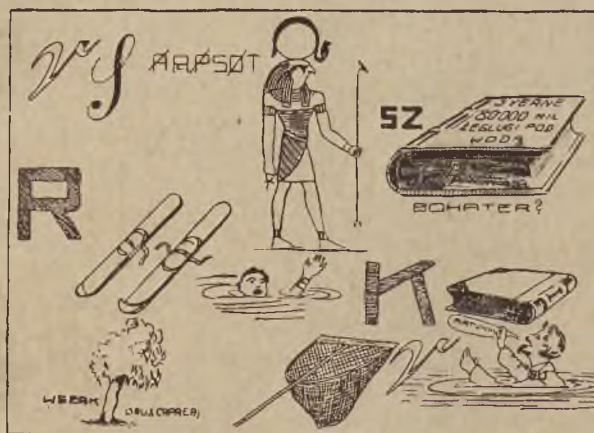
Proj. i wyk. Wanda i Jan Horcy.



Zastępując cyfry literami, należy odczytać 10 słów, czytanych pionowo, o poniższem znaczeniu. Kratki oznaczone dadzą rozwiązanie.

Znaczenie słów: 1. Wierzchnia suknia, używana przez rycerzy w XV w. 2. Warszawski artysta dramatyczny w XIX w. 3. Córka Artyzjusza, matka Perseusza. 4. Coś nadprzyrodzonego. 5. Jezioro w pow. Radzyńskim. 6. Szczyt w Wogezach. 7. Dopływ Dunaju. 8. Miasto w Polsce. 9. Ptak z rodziny wróblowatych. 10. Główne miasto w Pendżabie.

REBUS



ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 41.

SZARADA: Pisanie szarady.

REBUS: Polskie morze bywa często i straszne i złośliwe.

KRZYŻÓWKA:

Nagrody książkowe drogą losowania otrzymują: (za zagadkę); p. Józef Brzostek, Warszawa; (za szaradę) p. Stanisław Siatkowski, Boguslawice; (za rebus) p. A. Gołowaczewski, Warszawa; (za krzyżówkę) p. Anna Bohdanowska, Ostrołęka. Nagrody rozesłano pocztą.

Odgłosy ekonomiczne

Dodatek tygodniowy „Tygodnika Polskiego" poświęcony zobrazowaniu spraw gospodarczych finansowych i ekonomicznych w Polsce pod redakcją Wł. Józefowicza

Patrjotyzm gospodarczy a Wystawa Ruchoma

Ciężkie położenie, w jakiem się znalazł nasz Kraj po dokonaniu sanacji skarbowej, gwałtowne wtargnięcie na rynek polski powodzi zagranicznych towarów, zachwianie się bilansu handlowego i skutki tego zachwiania się— zwróciły uwagę całego społeczeństwa na znaczenie i powagę zagadnień gospodarczych. Jeżeli poprzednio rozważaniem tych spraw zajmowała się tylko nieliczna grupa obywateli Rzeczypospolitej, to nagle prawie wszyscy zainteresowali się niemi żywo, a powodem tego był fakt dotkliwego odczucia przez każdą jednostkę pogorszenia się osobistej sytuacji gospodarczej.

Prasa wskazala wyraźnie przyczynę; ujemny bilans handlowy. W rezultacie walka z towarem zagranicznym stała się nagle niesłychanie popularnem hasłem.

Trudno było o bardziej odpowiednią chwilę do poruszenia doniosłego zagadnienia patrjotyzmu gospodarczego.

Hasło to nie było i nie jest nowe.

W negatywnej swej formie, jako bojkot towarów określonego pochodzenia, było stosowane przez Turków, bojkotujących towary włoskie w przededniu walk o Trypolis; bojkotowali Indusi towary angielskie, wreszcie, co wszyscy dobrze pamiętamy, bojkotem towarów pruskich odpowiedziała ludność Kongresówki i Małopolski na wieść o tragedji dzieci wrześnieńskich.

Odrzucenie czegoś wtedy jest tylko skutecznem, jeśli w ślad po niem przychodzi praca nad stworzeniem własnym wysiłkiem równowartości.

Do tych czynów w dobie przedwojennej należy zaliczyć utworzenie w Małopolsce Ligi Pomocy Przemysłowej, a na terenie b. Królestwa Kongresowego Wystawy Ruchomej Prób i Wzorów Przemysłu Krajowego.

Organizatorami Wystawy Ruchomej byli: książę Stanisław Lubomirski, Józef Błeszyński, ś. p. Rafał Kornilowicz i ś. p. Hieronim Kondratowicz.

W ciągu czterech przedwojennych lat swego istnienia wystawa ta zwiedziła niemal wszystkie zakątki b. Królestwa Kongresowego, pobudzając społeczeństwo do żywego zainteresowania się budową fundamentów samodzielnego naszego życia gospodarczego.

Skutki tej działalności były wyraźne. W Małopolsce zaczął powstawać własny przemysł, rokujący duże nadzieje. Poczęto poważnie się zastanawiać nad unarodowieniem przemysłu naftowego, który lekkomyślnie oddano przedtem w obce ręce.

Wydział Krajowy wykupuje z rąk niemieckich wyłączności węglowe. — Powstaje Bank Przemysłowy.

Głośne wskazywanie firm Królestwa. jako źródeł nabywców, stwarza poczucie żywej łączności.

Okres ten minął, ale nie minęła konieczność uświadamiania społeczeństwa o bogactwie naszego Kraju, o możliwościach naszej wytwórczości i o konieczności walki z zalewem naszych rynków przez pogłębienie rynku wewnętrznego.

Nie należy zapominać, że wychowani w szkołach trzech zaborów, nie znaliśmy się wzajemnie, i jeszcze słabo się znamy.

Cóż więc w tem dziwnego, że kupiec z Tarnopola czy Wadowic szuka potrzebnego mu towaru w Wiedniu lub Pradze.

Wynika z tego konieczność, że tak się wyrażę — „upartego" uświadamiania nietylko kupców, ale i nabywającej publiczności.

Bez nieustannej, wytężonej propagandy nie osiągniemy celu.

Bez tej propagandy będziemy popierali cudzy przemysł, choćby nasze fabryki miały stanąć, choćby robotnik nasz został pozbawiony pracy, choćby-



Piękny plakat Wystawy Ruchomej Prób i Wzorów

śmy wywieźli po za granice kraju wszystko, co przedstawia realną wartość.

Znaleźliśmy jednak dosyć sił, by walczyć z niewolą polityczną, więc nie wątpimy, że znajdziemy też dosyć sił, by się przeciwstawić grożącemu nam stale niebezpieczeństwu na polu gospodarczem.

W powojennej Wystawie Ruchomej, oczywiście odpadł czynnik „krzepienia serc", a natomiast powstało hasło patrjotyzmu gospodarczego, oraz położenia fundamentów ekonomicznych pod gmach ideału politycznego.

A jakież są zadania obecnej Wystawy Ruchomej Prób i Wzorów Przemysłu Krajowego?

Przedewszystkiem handlowe, gdyż celem wystawy jest zapoznanie najdrobniejszych nawet kupców z polskim przemysłem i udowodnienie im, że wyroby nasze nie są gorsze, a niejednokrotnie lepsze są od zagranicznych.

Następnie dydaktyczne, przez organizowanie wycieczek młodzieży szkolnej na wystawę, pokazanie jej bogactw i wytwórczości krajowej oraz popieranie powag hasła: „popierajmy nasz polski przemysł".

Wreszcie polityczno - gospodarcze, propagując opanowanie rynku wewnętrznego przez nasz przemysł, walkę z zalewem rynków naszych przez towary zagraniczne, wzmożenie wytwórczości naszej oraz ekspansję naszą poza granicę kraju.

Ideały to wzniosłe, i warte, by społeczeństwo nasze, a przedewszystkiem nasz przemysł okazał jaknajszersze poparcie niesłychanie trudnej pracy kierowników wystawy, którymi w chwili obecnej są: przewodniczący p. Józef Błeszyński, dyrektor naczelny, p. Jan Rodkiewicz i dyrektor handlowy p. Stefan Hollak.

Poray.

Z POLSKO - WŁOSKIEJ IZBY HANDLOWEJ

Odbyło się walne zgromadzenie izby handlowej polsko-włoskiej, założonej w 1920 r. i mającej na celu przyczynienie się do zbliżenia gospodarczego i wzmożenia stosunków handlowych polsko-włoskich. Po zagajeniu zebrania, prezes izby, p. Józef Werner, zobrazował działalność izby w 1926-27 roku (od lipca 1926 do lipca 1927 r.), zaznaczając, iż w związku ze wzmaganiem się stosunków gospodarczych polsko-włoskich, zwiększa się również zakres działalności izby. W roku 1926-27 izba współdziałała w wybudowaniu pawilonu polskiego na międzynarodowych Targach w Medjolanie, którego inicjatorem jest p. dr. A. Menotti Corvi, przystąpiła z inicjatywy tegoż do wydawania własnego organu w formie miesięcznika „Polonia-Italia" pod redakcją dr. Leona Pączewskiego, oraz powołała do życia oddział w Katowicach, w którym są reprezentowane wszystkie większe przedsiębiorstwa przemysłowe Górnego Śląska. Jedną z najważniejszych czynności izby w roku przyszłym będzie urządzenie wystawy wzorów w pawilonie polskim na międzynarodowych Targach medjolańskich, które będą trwały 3 miesiące.

Nowy typ samochodu Forda

Oddawna oczekiwano ukazania się na rynku nowego typu samochodu Forda. Przygotowania techniczne tak dalece zaabsorbowały zakłady, iż zamknięto na szereg miesięcy fabrykę, przysposabiając warsztaty do nowej produkcji. Fakt ten wywołał nawet liczne komentarze w kołach zainteresowanej konkurencji, która nie koniecznie lojalnie zachowywała się wobec swego groźnego przeciwnika. Tendencyjnie rozsiewano najbardziej fantastyczne plotki, uwłaczające godności zarówno firmy, jak i jej właścicielom. Wszelkiemi sposobami starano się sparaliżować wysiłki tego najdzielniejszego organizatora przemysłowego, jakim jest Henry Ford.

Wysiłki te jednak okazały się płonne. H. Ford przezwyciężył wszystkie trudności i dziś już wypuścił pierwszą serję maszyn o następującej charakterystyce: motor — 4 cylindry, zapalanie 1 baterją, skrzynka o 3 biegach, hamulec i amortyzatory na 4 kołach, radjator — typu Lincolna, karoserję, przy zachowaniu jednej linji poziomu pomiędzy maską i radjatorem.

Nowy typ Forda najzupełniej odpowiada ostatnim wymogom techniki i fantazji.

Rozmaitości Literackie i Naukowe

Dodatek do Nr. 44 „Tygodnika Polskiego“

Z rymów i rytmów

Zwierciadło nocy

Pod powyższym tytułem ukaże się w najbliższym czasie nowy tom poezyj utalentowanej poetki. Podajemy z niego kilka utworów.

GWIAŹDZISTY WZÓR

Skrzydlate gwiazdy, okrągłe miesiące,
obłąkany wzór, który rozplączę, roztrącę,
rozedrę, jak paciorki splątane z jedwabiem.
I nie odejdę, i nie usnę, i nie spocznę,
dokąd odosobnione nie staną widoczne
— wielkie, świecące w skrzydłach blasku,
jak w żaglach korabie!

DŹWIĘK I ŚWIATŁO

Dźwięk, uwięziony w rzeki bezsennej chlupotach,
wydobywa się z wody i staje się łuską ze złota,
i wyzwala się z łuski i czepiając się róż wiszących
wznosi się razem z ich wonią i już jest światłem
miesiąca.

RZEKA

Ciemną klamrą, mostem, spięta rzeka
od kamiennych brzegów ziarnek żwiru żebrze;
czepia się i zapomina czego chciała
i, dźwiękając łzami, w świetle cała,
bieży dalej, gubiąc łzy w miesięcznem srebrze.

ZASYPIAJĄCE GWIAZDY

Gwiazdy zasypiające
mają dzwoneczki srebrne,
muzyka zlatuje światłem
na wszystko, co jest podniebne;
lecz w jeziorze odbity blask
zrywa się jak za zaklęciem
i wraca w górę muzyka
w najsłodszem wniebowzięciu.

I. K. Iłłakowicz

PRZY KOMINKU

Nie trudno jest o zwadę, gdy umysły podnieca jakowaś myśl polityczna, a przeróżne stronnictwa i partje prześcigają się w podstępnych machinacjach, celem zdobycia sobie na drodze wzajemnego przelicytowania jaknajwiększej ilości adherentów.

W takim to stanie znajdowała się Polska w roku 1664, kiedy, jak notuje ówczesny kronikarz „uprzykrzyła się wojna z nieprzyjacielem i zachciało się próbować samym ze sobą i życzyliśmy coraz inszemi chlebami brzuchy naładować".

Chodziło mianowicie o sprawę dziedzictwa tronu, o które ubiegano się ze wszech stron, uzbrajając jednych na drugich, kaptując obietnicami, pieniędzmi i podbijaniem ambicji.

Doskonale charakteryzuje ów nastrój pewna rozmowa, którą toczył król z jednym z najzaciętszych kandydatów, hetmanem Jerzym Lubomirskim.

— Panie marszałku — zapytał król— dochodzi nas wieść, jakobyście życzyli sobie korony?

— Któżby sobie nie życzył dobrego? — przyznał otwarcie Lubomirski. — Powiem Waszej Królewskiej Mości jedną historję, którą słyszałem o panu kasztelanie Wojnickim, że gdy jego hajducy z zamku przynieśli, postawili z krzesłem w pokoju, spytał swego Węgrzyna: — Kochany Andryś, co też tam między wami słychać o naszym Sejmie? Powiada mu on: — Ot miłostiwy pane, kedyśmy twoju pańsku miłost na zamok pryniesli, wsi hajducy, bratia naszy, howoryli: ot twemu panu było byt korolem polskim, szczo hożych pachołków derżyt pry sobie. Za ową nowinę dał 10 talarów na przepicie. Uważajże Wasza Królewska Mość, jeżeli takiemu kalece, który się i na łóżku swoją mocą przewrócić nie może, miło jest słuchać, kiedy mu prawią o królowaniu, a pogotowiuż mnie, co jeszcze z łaski bożej konia dosiądę, gdyby kto dobrowolnie kazał nad sobą królować, niebardzoby mię to mierziło. Zaczem jeżeliby po śmierci Waszej Królewskiej Mości, któremu zdrowia i długiego panowania życzę, tacy odzywali się do berła konkurenci, jak pan kasztelan Wojnicki, jak pan kasztelan Gnieźnieński i inni tym podobni, a to też i ja konkurent między niemi; ale jeżeli tacy, jak oto: car moskiewski, król francuski, król szwedzki, to ja zaraz konkurencji mojej gotów odstąpić.

To też w tym właśnie czasie kroniki nasze notują pierwszy skandal teatralny, jaki się zdarzył w Warszawie, mimo obecności samego Majestatu Królewskiego.

„Stali — opowiada kronikarz — około tego widowiska ludzie różnego stanu i różnej fantazji. Kiedy już insze odprawiły się indukcye, to jest, jako się potykali, jako się piechoty zwierały, jako komunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyje ucinano, jako do fortec szturmowano i one odbierano, zgoła, z wielkim kosztem i okazałością te rzeczy odprawiały się. Skoro już, jakoby po zniesieniu wojska i położeniu nieprzyjaciela na placu, prowadzą w łańcuchu cesarza w ubiorze cesarkim, koronę cesarską już nie na głowie mającego, ale w rękach niosącego i w ręce królowi francuskiemu onę oddającego; wiedzieli tedy, że to był Francuz znaczny, który osobę cesarską, w łańcuchu idącą reprezentował i potrafił twarz jego i wargę tak też jako cesarz wywracać, podżął jeden z Polaków konnych wołać na Francuzów: „Zabijcie tego,.., kiedyście go już porwali, nie żywcie go, bo jak go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką przelewał, a tak nie będzie miał świat nigdy pokoju... Jeżeli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję". Porwie się do łuku, a nałożywszy strzałę, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazo wyszło, i zabił. Drudzy Polacy także do łuków; kiedy wezmą szyć w ową kupę; naszpikowano Francuzów dużo, a nawet i tego, co siedział w osobie króla, postrzelono naostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr i z innymi francuzami uciekł".

Oczywista, że incydent ten przeniósł się na tory dyplomatycznej wymiany not. Sprawców tej awantury, pierwszego skandalu teatralnego w Polsce, nigdy nie odnaleziono.

*

Zabawną anegdotę opowiadają o pewnym dostojniku b. cesarsko-królewskiego „wiedeńskiego" rządu, który chwalił się publicznie z nominacji syna swego na starostę.

— Winszujemy, winszujemy — mówili wokoło słuchacze.

Jeden tylko z obecnych, co snać nie bardzo nosił w sercu pana ministra, zauważył głośno:

— Dziwne, ekscelencjo, że o tem w gazetach jeszcze niema?

— Ależ owszem — zaprzeczył żywo dotknięty minister. — Czyż pan nie widział we wczorajszym kurjerze?

— Doprawdy, panie ministrze — odparł ze spokojem żartowniś — uważnie bardzo czytam gazety, przyznać muszę jednak, że nawet w dziale wypadków nie zauważyłem tej wiadomości.



Pierwszy skandal teatralny, jaki w XVIII wieku miał miejsce w Anglji podczas przedstawienia w Królewskiej Operze, został wywołany zmianą decyzji dyrekcji, która wbrew przyjętemu zwyczajowi, uznała za niemożliwe wpuszczanie publiczności za pół ceny po II-m akcie.

B. KORSKI.

Match

Próby dostosowywania naszych kryterjów myślowych do rozumowań kobiety zazwyczaj przynoszą zupełnie nieoczekiwane rezultaty. Nasuwa mi to wspomnienia o małem zdarzeniu z własnego życia, które nazawsze odebrało mi ochotę do robienia tego rodzaju eksperymentów.

Będąc studentem, z zamiłowaniem oddawałem się sportom i należałem do jednego z klubów akademickich. Chętnie czyniłbym to i obecnie, lecz praca i obowiązki rodzinne zajmują zbyt wiele czasu. Może wówczas pracowałem nie mniej, jednakże czułem się wolniejszy i zawsze potrafiłem urwać godzinę — dwie, ażeby skoczyć na boisko.

Kilka lat temu przedostał się do nas nowy typ sportu. Mam na myśli boks, który do tego czasu nie miał na terenie naszych klubów prawa obywatelstwa.

Wielu uważa, że sport ten nie jest szlachetny i ma bardzo mało wspólnego — z estetyką. Bijatyka, kaleczenie nosów, zwierzęce instynkty i t. p.

Nie zgadzam się z tem, bo mówiąc o bijatyce ma się na myśli te nieliczne zawody bokserskie, urządzane w kraju, na których mało co, oprócz tych właśnie rozbitych i pokrwawionych nosów, widzieć można. Przecie nasi zawodnicy jeszcze nie mają odpowiedniego treningu, ani wyrobionej techniki. Rzadkiem zjawiskiem na naszych ringach są knock-out'y i jeszcze rzadszą umiejętność prowadzenia dobrej obrony.

Odrazu stałem się zagorzałym zwolennikiem i propagatorem boksu. Szybko dobrało się kilku amatorów: założyliśmy kółko, a klub poparł nasze poczynania.

Rozpoczęliśmy trening.

Wkrótce boks zaczął wchodzić w modę: zewsząd dochodziły wiadomości o zakładaniu analogicznych kółek. Zaprojektowano nawet zawody...

Przez kilka miesięcy sumiennie waliłem pięścią w zawieszoną na sznurze piłkę, biegałem, walczyłem z kolegami... A kiedy termin owych zawodów zbliżył się, zacząłem nawet trochę zaniedbywać swoje studja.

Miałem wówczas narzeczoną, koleżankę z uniwersytetu.

Znaliśmy się jeszcze ze szkolnej ławy. Widywaliśmy się często. Wspólne wycieczki, tańcujące herbatki, kino i długie, piękne spacery, jeszcze bardziej nas zbliżyły. Ślub nasz był rzeczą pewną, zwykliśmy się z tą myślą, tembardziej, że rodzice popierali nasz projekt. Czekaliśmy tylko aż skończę politechnikę. Nigdy nie wątpiłem w jej uczucia, boć przecież narzeczeństwo nasze tak długo już trwało, że mieliśmy możność dokładnego zapoznania się.

Wiedziała o mojej namiętności do boksu i trochę ją podzielała. Sama zresztą coś-nie-coś interesowała się sportem.

Powiedziałem jej o zawodach i prosiłem, by przyszła. Umówiliśmy się, że wstąpię po nią i później odprowadzę do domu. Lecz zamilczałem o swoich postępach i związanych z nimi nadziejach. Chciałem jej sprawić niespodziankę.

Przyszły mi wtedy na myśl walki gladjatorów na arenach rzymskich cyrków. I oni, zapewne, mieli ukochane kobiety, które z niepokojem śledziły swoich wybrańców, wyobrażając sobie, że właśnie o nie walczą.

Wieczorem, przed zawodami (miały się rozpocząć około ósmej) stawiłem się u niej. Po przybyciu na miejsce, zauważyliśmy, że sala jest nadspodziewanie pełna, gdyż były to zawody międzyklubowe. Z trudem udało mi się znaleźć krzesło dla niej. Usadowiwszy narzeczoną jaknajbliżej ringu, poszedłem przebierać się.

Zawodników, których większość znałem osobiście lub z widzenia zebrało się sporo. Przywitałem się ze wszystkimi. Spojrzałem na nieznanych mi i ucieszyłem się, że nie miałem czego się obawiać.

Szybko się przebrałem.

W pokoju było chłodno, tym przenikliwym, wilgotnym chłodem, właściwym niezamieszkałym gmachom.

Spieszno nam było rozpocząć zawody, dokuczaliśmy więc sędziemu, prosząc o przystąpienie do losowania.

— Trochę cierpliwości — wyrzekł flegmatycznie, spoglądając na listę — jeszcze trzech kolegów brakuje. Zaraz nadejdą.

I rzeczywiście, po paru minutach stawili się.

Spojrzałem na jednego ze świeżo przybyłych i cała moja pewność ulotniła się jak sen: świetna forma, ruchy elastyczne, muskuły — rzeźba. Oczy miał tak spokojne, że patrząc w nie pomyślałem, iż ten człowiek panuje nad każdym swoim ruchem.

Niebawem zresztą zacząłem się pocieszać myślą, że trzeba mieć specjalnego pecha, żeby mi wypadło z nim walczyć.

Otóż właśnie, miałem pecha: wyciągnąłem los — kolega Urbaniak, czyli ten, którego najbardziej obawiałem się.

— To będzie ciekawa walka — mówiono wokół, a sam pomyślałem z wyrzutem, poco zaprosiłem narzeczoną?

Głupie miałem przeczucie, że walka skończy się katastrofą.

Nasze spotkanie miało być trzeciem z kolei.

Wołają...

Wychodzimy na ring.

Patrzę na niego, jak zaczarowany, zapominając nawet o narzeczonej. W głowie nurtuje jedna myśl, byle tylko utrzymać się!

Gwizdek, ring wolny.

Drugi gwizdek. Wstajemy. Ściskamy sobie ręce.

Skoro tylko stanąłem w pozycji, rozpoczął mój przeciwnik atak. Ciosy waliły się jak grad i każdy miał siłę hydraulicznego młota. Parę razy upadłem, twarz mi płonęła ogniem. Przeciwnik zaś miał świetną technikę: nie wiem czy udało mi się bodaj raz zadać mu uderzenie.

Podczas przerwy siedziałem nawpółprzytomny. Dziwiłem się tylko swojej wytrzymałości. Drugie starcie było jeszcze gorsze. Padałem tyle razy, że przestałem liczyć. Znów jednak dociągnąłem do przerwy.

— Ring wolny!

Ponowny uścisk dłoni i wtedy uczulem na sobie czyjś wzrok. Podnoszę oczy — narzeczona patrzy na mnie. Co to było za spojrzenie! W szeroko rozwartych oczach wy-

czytałem strach, niepokój i przerażenie, iż zwątpiłem we własne siły. Zresztą i wygląd mój był godny pożałowania.

Rozpacz mnie ogarnęła.

— Nie — powiedziałem sobie — muszę zwyciężyć.

Nie pomnę co się działo. Wiem tylko, że byłem wściekły. Wszcząłem atak, nareszcie uchwyciłem odpowiedni moment i z całej siły zadałem cios. Sala zahuczała od oklasków, co mnie trochę otrzeźwiło. Widzę, że Urbaniak zachwiał się i runął na dywan.

Uderzenie było doskonałe!

Sędzia z sekundomierzem liczy: jeden... dwa... dziesięć... Nie podniósł się. Skończone...

Wróciłem do ubieralni, a gdy po chwili znów wyszedłem na salę i, zadowolony z siebie, jakgdybym cały świat zbawił, zacząłem szukać narzeczonej, napróżno rozglądałem się, gdyż nigdzie jej nie było.

Widocznie wyszła.

Zaniepokojony, włożyłem płaszcz i nie czekając na zakończenie (otrzymałem wtedy pierwszą nagrodę) wybiegłem na ulicę.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć i aż do rana przewracałem się z boku na bok. Następnego dnia obudziła mnie służąca, przynosząc list. Od narzeczonej. Spojrzałem na kopertę i odrazu przypomniałem sobie poprzedni wieczór.

...„po wczorajszym wieczorze — pisała mi — zrozumiałam, że musimy się rozstać. Wierzaj mi, że decyzję powzięłam po długiej walce ze sobą, bo przecież szczerze cię kochałam i nie jest mi łatwem rozstać się z tobą.

Patrząc na ciebie, walczącego, doznałam rozczarowania. Byłeś moim bohaterem i obrońcą.

I otóż w obecności tylu obcych ludzi traktowano i poniewierano cię. Byłeś cały okrwawiony i ledwie trzymałeś się na nogach. W każdym ruchu twoim czuć było brak wiary w siebie i niemoc. Zdetronizowałeś się wtedy w moich oczach. Nie byłeś już bohaterem, któremu mogłam powierzyć swój los.

Potem nastąpiło coś potwornego. Widziałem, jak odradzał się w tobie brutalny, zwierzęcy instynkt. Jeszcze chwila i zupełnie straciłeś ludzkie oblicze. Byłeś zwierzem, walczącem o życie.

A ten blask dzikiego zwycięstwa w oczach!... Bezlitosny tryumf na widok pokonanego wroga! Nie, tego było zawiele! Nigdy nie zostanę twoją żoną. To są przyczyny, dla których nie chciałam cię widzieć i sama wróciłam do domu.

Proszę, wykreśl imię moje z pamięci. Zwracam dane ci słowo".

Czytałem i nic nie mogłem zrozumieć.

Więc cóż miałem uczynić?

Gdybym został pokonany, byłbym „zdetronizowanym bohaterem", którego opiece nie można ufać. Kiedy zaś zwyciężyłem, okazałem się brutalnem zwierzęciem...

Gdzież tu logika, prawda?

Ale szukanie logiki w rozumowaniach kobiety jest najbardziej nielogiczną rzeczą i właśnie dlatego... została moją żoną i nie nazywa mnie teraz inaczej, jak „swoim ukochanym brutalnym zwierzakiem".

WŁADYSŁAW BORAKOWSKI.

Gdy miłość umarła...

Miłość nasza umarła.

Grzebiemy ją dzisiaj w całej powadze żalu i cichego smutku. Żalu — nie do samych siebie, lecz żalu za tem, że... miłość umarła.

Umierała powoli — oddawna. Wyczuliśmy to odrazu, gdy tylko pierwsze poczęły rysować się szczeliny, załamania w zaczarowanym pałacu, który zbudowaliśmy sami i w kwiaty przybrali przedziwne.

Lecz kwiaty zwiędły. Wypaliły się serca.

Dziś znowu porywa nas świat — każde w inną stronę. Wołają do nas już inne twarze, inne głosy — nie nasze. Już nie my dla siebie wzajemnie pierwsi jesteśmy.

Kochać będziemy innych ludzi. W ogrodach naszych uczuć nowe zasadzimy kwiaty.

Miłość nasza umarła.

— — — — — —

...A nasza dziecina? Dziecina, która jest żywem wspomnieniem tego, co już umarło... wspomnieniem tych chwil, gdy dłonie twe z ufnością kładłaś w moje, by iść razem w nieznany — wówczas obcy — dla nas świat...

Daliśmy życie człowiekowi. Ten człowiek jest jeszcze mały, malutki — lecz już ma serce. Jakżeż on radę da sobie bez nas z sercem swojem?... Musi mieć matkę i musi mieć ojca — oboje razem. Inaczej byłby sierotą, a życie sieroty jest ciężkie. Czy wolno nam dziecko nasze na ciężkie życie skazywać za nasze przewiny? I nawet nie za nasze. Bo całym grzechem jest to, że już świat cały widzimy nie tylko w naszych oczach, patrząc na siebie z rzewnym uśmiechem wspomnień tego, co widzieliśmy kiedyś. Cóż my temu winni jesteśmy? Może—tak... może — nie... Nie dociekajmy. Już nie wrócić tego, co umarło. Nie wskrześnie.

Co będzie z naszą dzieciną? Życia jego nie wolno nam łamać. Nie wolno łamać w imię tej wiary i ufności, którą pokładaliśmy w sobie, gdy dawaliśmy jej życie. Nie wolno! — I oto... załamuje się cała linja naszych mądrych, życiowych zamierzeń. My teraz sami ustąpić musimy na drugi plan i odejść w cień.

Zostać z sobą musimy... zostać, choć miłość nasza umarła. Nie poradzimy na to nic.

Zostać z sobą... To nie są rozkazy jakichś ludzkich praw, przyjętych światowych formuł i nakazów. To jest miłość do tego małego, malutkiego człowieczka, któremu daliśmy życie — ty i ja — miłość do naszej dzieciny.

Zostać z sobą musimy... choć miłość nasza umarła...

Patrz — jak dziecko śmieje się do nas i rączki małe wyciąga! Czy kiedyś ono ma przestać nas kochać? Zatracić ma swoją ufność dziecięcą do ciebie — matki i do mnie — ojca, ono — któremu daliśmy życie, gdy wierzyliśmy sami ufnie, że życie nasze do nas obojga wzajemnie należy na zawsze aż do końca naszych dni, do śmierci, a może i po za grób —?

Któż mu nas zastąpi?

Dziecko nas łączy. Miłość umarła.

Grzebiemy ją dzisiaj w całej powadze żalu za tem, co zmarło... lecz bez żalu do siebie.

W ogrodach naszych uczuć inne zasadzimy kwiaty.

Miłość umarła.

...Cicho... Nie płacz...

JOTHA.

Dziewięć igieł w occie winnym

Przez dwa dni biegałem, jak rasowy koń na wyścigach z przeszkodami, aby w końcu pzybyć do celu... z numerkiem w kieszeni do poczekalni doktora w Kasie Chorych.

Błogosławiłem moją przezorność, co do zaopatrzenia się w lekturę, która pozwoliła mi przebrnąć przez nudę oczekiwania mojej kolei.

Czytałem: próbowałem nie słyszeć toczonych wokoło mnie rozmów, które, jak natrętne muchy, bzykały mimo uszu.

Ze wszystkich głosów wybijał się jeden monotonny i jednostajny, jak chlupot jesiennego deszczu, niestrudzony w swej bezbarwności. Ten głos przenikał mi do rdzenia mózgu, nie pozwalał skupić myśli i zmusił mnie w końcu do tego, że zrezygnowanym ruchem odłożyłem książkę i zacząłem się przysłuchiwać temu. co mówiła właścicielka owego głosu, niepozorna kobiecina w żałobie, o zniszczonej twarzy...

— ...Tak, tak, moi państwo... bywają różne choroby na świecie... co oni tam, doktorzy, wiedzą. Zeszłego roku o mało mnie taki jeden nie otruł. Dał mi, huncwot, takie lekarstwo, że jakem wzięła, tak mi zaraz język skołowaciał. Trzasnęłam flaszkę o ziemię i nie pozwoliłam sobie życia odebrać. Raz, to już byłam jedną nogą na tamtym świecie... cięli mnie tu... i tu... i tu. (Odpowiedni gest ręką). Ale to nic. Bywa gorzej. Bratanek mój najadł się świeżego chleba razowego i odrazu mu kiszki pokręciło. Przywieźli go ze wsi do Warszawy. Trzeba ciąć. Wycięli cztery metry kiszek, wstawili gumowe... A powiadają, że razowy chleb najlepszy na choroby żołądka... Sąsiadka moja sprzątała ze stołu... wlazła jej w rękę igła, a ona z początku nic... potem zaczęło ją boleć... gangrena... ucięli jej rękę...

Rozglądam się wokoło, a tu ludzie, jak zahypnotyzowani wzrokiem węża, przysłuchują się z trwogą w oczach. Nic dziwnego! Wszak od godziny przeszło nie słyszeli o niczem innem, jak o śmierci! Każdy, kto wchodził do doktora, przestępował próg gabinetu z taką nieszczęsną miną, jakby za chwilę miał go dotknąć nóż operatora.

Tymczasem pani w żałobie zwraca się w półobrocie do swej sąsiadki:

— Pani to pewnie ma ataki duszności...

I nie czekając na odpowiedź, mówi tym samym tonem, mogącym człowieka przyprawić o nudności.

— ...Znam to, znam, wpierw kolki w prawym boku, potem mdłości —nie można oddychać. Tak, to wątroba. Jedna moja znajoma właśnie na to umarła w zeszłym tygodniu. A znowu mówią, że na Szpitalnej jest taki jeden „macher", co daje na to lekarstwo i jak ręką odjął... Może być, bo taki to czasem wie lepiej, jak doktór.

Przysłuchujący się odetchnęli. Więc jest ratunek?...

* *

Chcąc przerwać ten szalony potok wymowy, wyciągnęli ołówki, prosząc o dokładne podanie adresu owego cudotwórcy.

Pani w żałobie z obojętną miną mówi:

— Szpitalna 84. Felczer. Chociaż ja tam nie bardzo wierzę, aby to co pomogło, ale niech państwo pójdą do niego.

To mówiąc, zwraca się do jednej z kobiet, która skwapliwie zapisuje adres:

— Pani też na to samo?...

— Nie, ja mam darcia... cały dzień...

— Darcia?! No, dla pani to ja mam pierwszorzędne lekarstwo. Niech pani kupi butelkę octu winnego, wie pani, taką, jak od wódki, niech pani wrzuci dziewięć igieł stalowych i postawi na słońcu, ale „musowo" na słońcu. Jak postoi i igły się rozpuszczą, posmaruje pani bolące miejsce i już — niema darcia...



Zdumienie na wszystkich twarzach. Jakiś pan chce zakwestjonować ten cudowny medykament, ale spotyka się ze wzrokiem kobiety w żałobie, który wyraźnie mówi:

— No, spróbuj pan powiedzieć, że nie...

Jegomość, strwożony jej bojową postawą, cofa się i mruczy niewyraźnie:

— No tak, ocet ma takie składniki... składniki, które... hm... pokonywują opór stali...

Pani w żałobie tryumfuje. Teraz już wszyscy wierzą, albo udają, że wierzą.

— Więc jakto, proszę pani—wbija sobie jakaś kobieta do głowy dopiero co usłyszany sposób przyrządzania cudownego lekarstwa — poprostu flaszka octu... ale jaka flaszka?

— Mówiłam już — od wódki...

— A potem, jak to długo musi stać?...

— No, stoi tak długo, aż się igły nie rozpuszczą...

Ktoś nie wytrzymał.

— Ee... ja tam nie wierzę, żeby się igły miały rozpuszczać...

Pani w żałobie obrzuciła śmiałka spojrzeniem, w którem się malowało morze pogardy i lekceważenia.

— Panie, co pan wie, moja babka nieboszczka już znała ten środek... i matka... Ja też w swoim czasie nie wierzyłam. ..

Po długiem wahaniu, z biciem serca odważyłem się w końcu zapytać, przybrawszy możliwie grzeczną postawę:

— Wybaczy pani, ale może mi pani raczy objaśnić, dlaczego to akurat musi być dziewięć igieł, a nie... no, dajmy na to, dwanaście?

Struchlałem od wzroku, jakim mnie obrzuciła. Boże, czego tam nie było!

— Panie, a może mi pan objaśni, dlaczego kura składa jajka, a nie, naprzykład, perły albo dyjamenty... co?

Umilkłem, zmiażdżony niezbitym argumentem.

Widziałem, że moja przeciwniczka szykuje się do nowego ataku i drżałem na myśl, co to będzie, ale, na szczęście, zawezwano mnie do doktora.

Wśród pism i książek

RATUJMY DZIECI. Nakładem OO. Pallotynów.

Pod tym tytułem ukazała się w druku ciekawa broszurka, która ze względu na szereg rzeczowych argumentów winna znaleźć szerokie rozpowszechnienie w organizacjach kobiecych.

Podane w niej są łącznie z projektem ustawy o karach za porzucenie rodziny motywy, oświetlające zagadnienie, czem jest rodzina w stosunkach społecznych i w stosunku do państwa; wyszczególnione są względy, dla jakich porzucenie rodziny karane być winno, jako przestępstwo; wykazana niedostateczność dotychczasowych sankcji moralnych i cywilno-prawnych i podany przegląd odnośnych przepisów w ustawodawstwie innych państw. Przedmowa między innemi zawiera rezolucję wiecu kobiet w tej sprawie z dn. 23 października w Łodzi i wezwanie do zamanifestowania żądania ustawy przez kobiety z całego kraju.

K. Iłłakowiczówna. ZWIERCIADŁO NOCY. Warszawa, 1928. Nakładem J. Mortkowicza.

Nowa serja, „Pod znakiem poetów", w której ukazały się dotychczas pięknie wydane utwory L. Staffa, J. Kasprowicza, J. Wołoszynowskiego, S. Balińskiego i J. Tuwima — wzbogaciła się zbiorkiem liryk znanej i cenionej poetki K. Iłłakowiczówny.

Czarowna muzyka rymów utalentowanej tej autorki przepojona jest cichą zadumą i melancholją, którą jej dyktuje nieodłączna tęsknota, co niby siostra przy niej zasiada, snując marzenia o miłości i wolności duszy.

... niechaj przyjdzie ktoś w to moje święto
niechaj mię złamie, lub wyrwie mię z ziemi,
a ja mu w sercu, jak w maju, jak w wiosnę
miłości kwiatem błękitnym wyrosnę...

Wyśniona ta miłość, to uczucie niemal nadprzyrodzone, bo zdaje sobie sprawę autorka, iż człowiek, „z grubych kości i krwi gęstej zwierz", musi, niestety, podlegać „podwójnemu prądowi", co nim miota, jak przypływ i odpływ nurtów morskich, w walce pomiędzy głosem „wołania anielskiego" a zwykłym ziemskim grzechem.

... myśmy jako puste muszle
opuszczone łuski owada.
Siwa nicość naigrawa się z nas
i piaskiem na serca nam pada.

I mimo, iż kwietniowy jeszcze świt jarzyć się powinien przed oczami młodej autorki, tęsknota każe jej śpiewać jesienne nastroje duszy, budząc przedwczesne echa cichej rezygnacji.

... młodej siły niedużo
oczy patrzą inaczej nieśmiało
zgaśnie bezpłodnie twe życie
i pianą będziesz leciutką i jasną...

„i odejdziesz" — brzmi dalej smętna nuta pieśni, — „mimo, iż może się zrodzić cud miłości i wszystkie sady zakwitną", odejdziesz

... w dal co ucieka i w głębię co koi...

Juljan Ejsmond. W PUSZCZY. Warszawa, 1928. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Ktoby lepiej umiał podpatrzeć tajniki „serca zwierzęcego", jak doskonały znawca puszczy i zamiłowany myśliwy, jakim jest Juljan Ejsmond. Rysica-matka, dzik — mocarny król kniei, niedźwiedź — filozof, wilki — bestje krwiożercze, bogata ta galerja „typów zwierzęcych" z ich specyficznemi przeżyciami, które zbadać może tylko ten, komu uda się przeniknąć wgłąb puszczy, namalowana jest z właściwym autorowi talentem narratora, a że ze świata zwierzęcego zwykł był czerpać „bajkowe" analogje do typów ze świata dwunogich, więc kończy tę wycieczkę opowieścią „O sercu, które kiedyś było sercem człowieka".

Władysław Grzelak. ŁÓDKĄ Z BIEGIEM WISŁY. Wspomnienia z wycieczki wioślarskiej z przedmową Al. Janowskiego. Warszawa. Nakładem Polskiej Składnicy Pomocy Szkolnych.

„Wisła, to słup kręgowy Polski, to główny nerw liścia Piastowskiej Korony — powiada w przedmowie zasłużony organizator krajoznawstwa, Al. Janowski, przypasując ostrogi rycerskie nieznanemu dotychczas młodemu autorowi, który postanowił wydać i zilustrować wrażenia swe z podróży wzdłuż Wisły.

Książka ta zawiera w żywy sposób skreślone przygody i wrażenia młodych żeglarzy, którzy puścili się na interesującą wycieczkę od źródeł Wisły do jej ujścia, zwiedzając po drodze osobliwości kraju, zapoznając się z etnografją ludności i pięknością rodzimych krajobrazów.

„Co za bogactwo wrażeń — podróżować swobodnie, lecieć jak ptak, a raczej płynąć jak ryba wzdłuż całej polskiej ziemi, pierwszego dnia, przedarłszy się przez gąszcz wspaniałej paproci na górze Baraniej — ujrzeć kolebkę Wisły — drugiego dnia dosiadłszy łodzi tam, gdzie zaczyna się Wisły bieg spławny, popłynąć do Krakowa, trzeciego — do Sandomierza, piątego do Puław, ósmego do Warszawy, jedenastego do Torunia i tak dalej aż do Gdańska i bursztynowych wrót Bałtyku.

Tyle wrażeń, w tak krótkim czasie, tyle szlachetnych przeżyć sportowych, dostępnych dla wszystkich, co latem rozporządzają choćby najmniejszym urlopem, a wszystko, opisane ze znajomością rzeczy i niemałym talentem, składa się na piękną lekturę dla młodzieży, której pierwszym obowiązkiem jest zapoznać się z własnym krajem i umiłować go całem sercem.

Książka jest zaopatrzona w liczne ilustracje i stanowi, niewątpliwie, jeden z najlepszych upominków, który polecić możemy dla młodzieży na gwiazdkę.

Wiktor Dzierżykraj-Stokalski: DZIEJE JEDNEJ PARTYZANTKI. Lwów, nakładem autora.

Kto nie słyszał o przewagach wojennych garstki śmiałków, zgrupowanej swego czasu pod rozkazami szalonej odwagi por. Jaworskiego? W dziejach młodej naszej armji „jaworszczycy" zasłużyli sobie na piękną kartę, podyktowaną „umiłowaniem dla sprawy" i szlachetnym zapałem rycerskim. Pełne poświęcenia czyny bojowe, które począwszy od obrony Antonin, w r. 1917, do ostatnich dni działalności w kadrach armji polskiej przeciw bolszewickiemu najazdowi na ojczyznę, zapisane są w dziejach „jaworszczyków", zebrane zostały przez jednego z jej dzielnych żołnierzy, rtm. Stokalskiego na stronicach tej książeczki, którą wydał własnym kosztem. Książka ta winna się znajdować w zbiorach każdego z naszych pułków.

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona". Warszawa, Nowolipie 2.

Jak zachować świeżą i piękną cerę!



Drobne Ogłoszenia